

# KUŹNICA

Biblioteka Miejska  
Łódź  
Andrzeja 14.

## TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI



Cena 7 zł.

TEORIA STAJE SIĘ SIŁĄ,  
MATERIALNĄ Z CHWIŁĄ,  
GDY OPANOWUJE MASY

Karol Marks

Rok 2

Łódź, 20 maja 1946 r.

nr 19 (37)

ADAM WAŻYK

## NOWE WIERSZE

### List zimowy

To nic, że o świecie  
po śniegu najczystszy  
listonosz nie przyjdzie  
do mnie z miłym listem.

Widzę śnieg i prawie  
zabłądza się rana  
po tej wielkiej sprawie,  
którą znasz, kochana.

Widzę ziemską dobroć,  
ochłodzoną w niebie,  
ten śnieg niepamięci  
podobny do ciebie.

Odsłaniam o świecie  
wyczuloną kliszę,  
na której odcisniesz  
stopy najwstydlwsze.

Ten śnieg mówi do mnie,  
ta klisza jest we mnie,  
a w tym moje skromne  
i jasne widzenie.

Ty myślisz, że list ten  
napisałem w przeszłość,  
to odpowiedź tobie,  
moja miła śnieżko.

### Fotografia

Dziecko stulecia, chmuro wspomnień,  
mój smutek niepodobny do mnie,  
twoje nieskromne oczy chłopca  
zapadną w serce nie wiem komu,  
ja z tobą mówić nie potrafię,  
milcząc oglądam fotografie,  
którą dziewczynka mi przyniosła,  
spod gruzów warszawskiego domu.  
Oszczędź mi twojej opowieści  
czutej i wątej bardzo treści,  
która za życia obumarła,  
to z rumowiska i wspomnienia  
przeszłość buduje nam więzienia.  
O latach nie mów mi serdecznych,  
o zimach prawie przeszłościach,  
wiem komu lekarz pustą tyżką  
a komu zajrzał głód do gardła.  
Ty znasz niepokój, ja wiem wszystko  
i uśmiech twój, jak skromną schedę  
po zmarłych, wkładam do portfela,  
uśnij w zanadrzu, tyś był jeden...  
Wśród smutnych dzieci dwóch stuleci,  
tyś był, mój chłopcze, jeden z wielu.

### Widokówka z miasta socjalistycznego

O świecie niecierpliwa,  
niesyta swojego piękna,  
syczała lokomotywa  
nad dziewczyną, która ukłękła.

Ktoś kto przelotnie zobaczył  
pogański profil dziewczyny,  
opatrnie sobie tłumaczył,  
że modli się do maszyny.

A jej tylko drgata warga,  
gdy ranna racla oliwy  
maściła, czuła kolejąka,  
tłoki lokomotywy.



### Kiosk inwalidy

Zamienilesz namiot na kiosk tytoniowy,  
ludzie kupują po trzy papierosy lub paczkę,  
umarli schodzą się w kiosku zapalić dobrą machorkę.  
Przychodzi lektor pułkowy,  
ten który poległ na tratwie podczas przeprawy przez Wisłę,  
przychodzi pluton strzelców niedoświadczonych  
tych chłopców, co głupio przylegli pod ogniem niemieckich moździerzy,  
przychodzą inni, których nie zliczę.  
I mnie sprzedaj paczkę tytoniu, mój drogi.  
Paliłszy, szliśmy, jechali, milczeli,  
dwa razy zima ścinała rzeki,  
dwa razy front przed nami pękał.  
Niech kto inny opowiada ruiny Warszawy.

Opuszcza nas cenna nienawiść i oto jest życie ubogie,  
Zamykasz swój kiosk jak pamięć i bierzesz kostur na drogę.

### Ptaki spalonej Warszawy

Ptaki, spalonej Warszawy świadkowie,  
leca i płaczą w stulecie — pustkowie.

Prawda w ich dziobie jest źdźbłem słomy  
w słońcu wydłuża się cień ich ruchomy.

Córka Warszawy patrzy na nie bosa,  
a one gnazd nie uwijają w jej włosach.

Ptak co cierniowi w jej stopie zazdrości,  
śpiewa w powietrzu o mieście miłości.

Na ziemi cegły układając człowiek  
buduje miasto, które zna spod powiek.

### Do Ireny Tuwim

Ziarno, gnijące pod ziemią czarodziej,  
liściek śmiejący się do słońca rodzi.

Wielki i smutny ocean nas dzieli,  
łączy nas liściek majowej niedzieli.

Słyszę jak pęka w pierścionku twym kamień  
i chcę wyciągnąć przez ocean ramię.

Małe dziecko cieszy się, że chodzi,  
wyciąga rękę po dym twojej Łodzi.

Ptaki się schodzą na ludzkie spotkanie,  
Ireno, przyjmij przez ocean ramię.

### Katarynka

O lata wzdary, młode lata!  
Przy katarynce Katarzynie  
my upłynialiśmy ruiny  
zmków i mgieł waszego świata.  
O lata zgiełku! Nikt nie wierzył  
naszej piosence niewyraźnej.  
Nie liczcie, ruiny tych bankierzy,  
na niemoc naszej wyobraźni  
dlatego że przez młode lata  
gra katarynka Katarzynie  
i wzięta śliczna Małgorzata  
na zarczynach snu i drwiny.  
O młode lata, płyncie lata!  
Nie my, to przyjdą po nas inni,  
materia nowa, dzisiaj twarda,  
jutro w ich słowach się upłyni,  
z waszego tyle będzie świata,  
ile uniosła nasza wzdarda  
przez tamte lata! Płyncie lata,  
graj katarynko Katarzynie,  
niech lata śliczna Małgorzata!  
Myśmy zerwali zarczyny.

### Kronika

Żołnierz, że bił się, jest zabity w lesie,  
chłop, że brał ziemię, jest zabity w domu,  
Żyd, że ocalał, jest zabity w drodze.  
W kronice gorzkiej teraźniejszych rzeczy  
wyrok stu głupców wiśi nad przyszłością.

Las co pod wrzosem partyzantów chował,  
chwałę poległych pomnaża szyderstwem,  
żołnierz, że bił się, jest zabity w lesie.  
Młyn na resztówce w ogniu jak niemowa  
rozpaczący ramionami rusza,  
chłop, że brał ziemię, jest zabity w domu,  
Żyd, że ocalał jest zabity w drodze,  
kondukt żałobny rozśmiesza mieszczucha,  
fortrzyk się bawi w domową wojenkę —  
przeżyło wilka jego nocne wycie.

Wyrok stu głupców wiśi nad przyszłością,  
a ona drga, jak powietrze od kuli,  
i wraca w siebie, powietrzem się leczy  
raniony kryształ, pomnożona chwiała  
tych co tę śmierć nedorzeczną poczuł  
w kronice gorzkiej teraźniejszych rzeczy.

### Oda dialektyczna

Wróżyć z dłoni losy wyśmieją,  
praca przeorze rysy ich dłoni,  
dzieci ich będą dziwić się dziejom  
i wracającej skokiem harmonii.

Garnków i rajów nie lepią święci,  
lecz ci, o których losy walczyliśmy  
Oni na powrót złożą z pamięci  
rozdarte w walce serdeczne rymy.

Ja, przemieniony, nie zapomniałem  
ani listeczka zefłatej treści  
i wiem, że piękno, stając się ciałem,  
ból doświadczenia w rysach pomieści.



Ma słusność p. Zawodziński, dowodząc, że inteligencja nasza grupowała żywoły najróżnorodniejsze i że dla szlachty szaraczkowej przejście do inteligencji stanowiło nie degradację ale awans społeczny. Powstaje pytanie — czemu w takim razie utrwało się poczucie degradacji, dlaczego tak silnie wydatniło się w literaturze? Lecz tych spraw nie można brać mechanicznie, ilościowo, miarodajniejsze tu są tendencje wychowawczo-ideologiczne, przeważające w świadomości społecznej. Weźmy jakiegokolwiek społeczeństwo ukształtowane na zasadach oligarchicznych, — przecież z reguły rodziny oligarchiczne zawsze stanowią ilościowo nieznaczny czynnik. Bywalcy kinowi pamiętają np. filmy amerykańskie, zwłaszcza popularne, i olbrzymią rolę jaką odgrywa w nich życie milionerów i specyficzny stosunek filmowców do tej klasy. Czy to znaczy, że milionerzy oglądają te filmy i egzaltują się własnym widokiem? Nie, społeczeństwo wychowane zostało w tym duchu — film egzaltując widza sprawami ludzi pieniądza prowadzi określoną linię wychowawczą, podobnie jak szkoła, gazeta — w ten sposób w szerokich masach wyrabia się myślenie w kategoriach oligarchii pieniężnej jako naczelnego czynnika organizacyjnego w społeczeństwie.

Główne nurty wychowawcze w społeczeństwie, linie przewodnie dawała u nas kultura szlachecka, nacechowana duchem anty-urbanistycznym. Tysiące wykształconych lub uważających się za takich mieszczuchów, wychowywanych w tym przekonaniu, przyszywało sobie genealogie wiejskie, szlacheckie. Nie idzie o to, ilu było tych naprawdę „wysadzonych z siódła”, ważniejsze to, iż potrafili oni narzucić pewien styl środowisku, w które weszli — niechęci do miasta, powoływania się na szlachetnie urodzonych przodków i podsuwania pod oczy bliżnim sygnetów — zgódzimy się z p. Zawodzińskim — często z ialszymi herbami.

Jak dalece formalne kryteria klasowe oparte na pochodzeniu nie zawsze wprowadzają na właściwy tor, świadczą właśnie kwestia owych literackich arystokratów, Epikę sarmatyzmu w XIX w. tworzyli ludzie, których z racji ich pochodzenia w żadnym razie nie można zaliczyć do karmazyków. Autor „Pana Tadeusza” pochodził ze szlachty szaraczkowej, a najwybitniejszy lub w każdym razie najlaskrawszy z przedstawicieli gawędy szlacheckiej, Wincenty Pol, wyszedł z niemieckiej rodziny urzędniczej. Przykład Pola stanowi pouczające świadectwo asymilacji kulturalnej, nie jedynie zresztą.

Arystokrata Krasieński przy swoich legitymistycznych zasadach zbyt interesował się analizą położenia swojej klasy w społeczeństwie i grożąca jej zagładą, aby mógł poświęcić się epickiemu ujmowaniu uroków sarmatyzmu szlacheckiego. Pouczający przykład stanowi też inny autentyczny karmazyń — Rzewuski. W „Pamiętnikach Soplicy” czy „Listopadzie” uderza — mówiąc po dzisiejszemu — nasilenie analizy społecznej. Niektóre ustępy z „Pamiętnik Soplicy” mogą stanowić obraz wprost podręcznikowy stosunków feudalnych. Analiza sarmatyzmu w „Listopadzie” wchodzi w opis czynników gospodarczych traktowanych w bardzo ciekawy sposób.

Nie można sprowadzać takiego bogatego i wielostronnego zjawiska jak Mickiewicz — do roli piewcy szlacheckiej. Zresztą „Pana Tadeusza” Mickiewicz pisał w stanie przyzwoitego intelektualnego, które nie było u niego zjawiskiem stałym. W przedstawieniu świata szlacheckiego w poemacie odgrywało rolę i to, że autor społecznie patrzył nań nie tylko przez wspomnienia dzieciństwa, wczesnej młodości, ale, by tak rzec, z niższej kondygnacji tego świata. Krasieński w Soplicowie nie dostrzegłby specjalnych blasków i powabów, światek ów wydał by mu się ciasny, pod wieloma względami drażniący, zauważyłby całą masę szczegółów napawających niepewnością i przykrymi refleksjami. — Krasieński patrzył na ten światek z góry. A znowuż karmazytność Pola wynikała z tego olśnienia, jakiego syn niemieckiego biurokraty doznał w zetknięciu z dworskim pańskim światem Polski.

Kiedy w r. 1933 połączone „Stronictwo Ludowe” przyjęło uchwałę o wywłaszczeniu obszarów bez odszkodowania, Witos ogłosił ciekawy wywiad w „Kurierze Polskim”. O Witosie wiadano, że należał dawniej do przeciwników radykalnej reformy rolnej, dlatego jego udział w uchwałach stanowił sensację. Zapytany o powód zmiany stanowiska, polityk chłopski odpowiedział, że nastąpiło to pod wpływem doświadczeń likwidacji zdobywczy demokratycznych pierwszego okresu niepodległości.

Witos nie przypisywał wywłaszczeniu bez odszkodowania znaczenia gospodarczego, ale doszedł do wniosku, że bez wyrwania z korzeniami wpływów szlacheckich niemożliwe jest utrwalenie demokracji. Istotna potęga obszarnictwa w Polsce w okresie dwudziestolecia mogła się wydać niezbyt wielką — niemniej jego wpływy organizacyjno-kulturalne górowały, nie posiadając poważniejszej przeciwwagi. Ludzie sanacji np. po pewnych wahaniach odruchowo wracali do tego specyficznego szlacheckiego stylu. Emigracyjne „Czarne na Białym” umieszczało szereg interesujących artykułów o tych panach z herbowymi sygnetami, którzy starali się styl szlachecki naśladować. Czy to wychodziło autentycznie czy nie, to rzecz drugorzędna. Ważniejsze, jak reagowały między innymi na ten styl prowadzenia spraw ma-

sy chłopskie przede wszystkim. Takie dyskusje na temat szlachty, wpływów szlacheckich powtarzały się u nas od stu lat przeszło. Jeśli pobrzmiwały w nich pewna nuta oskarżycielska, to wynikało przede wszystkim z katastrofy państwowości polskiej i odpowiedzialności „warstwy historycznej”. Wynikało to z faktu, iż zasady organizacyjne szlacheckiej Republiki nie wytrzymały praktycznej próby walki z systemami państwowymi opartymi na odmiennych założeniach, okazały się anachroniczne i niecelowe. Zresztą i w łonie samego obozu szlacheckiego, postawa była niejednolita. Szlachta oskarżała panów, magnaterie — przedstawiciele magnatów oskarżali chłasse drobnoszlachecką.

Dziś te spory mają znaczenie historyczne. Wiele spraw możemy traktować powściągliwie i chłodniej, jako że istota owych konfliktów polityczno-społecznych należy do przeszłości. Natomiast spór o genealogię społeczną inteligencji ma swoje znaczenie praktyczne i dzisiaj. Słusznie podkreśla p. Litwin, że inteligencja nie była i nie jest monolitem: różne odłamy w poszczególnych okresach zajmowały społecznie różniące się stanowiska.

#### PERSPETYWY

Rozpatrując stanowisko autorów, zabierających głos w dyskusji, nie wydaje się, by występowały zbyt wielkie różnice praktyczne, zwłaszcza w sprawie oceny przeszłości, a więc p. Zawodziński nie kwestionuje w zasadzie siły wpływów szlacheckich, nawet sięgających w dzień dzisiejszy, raczej występując w obronie pewnych wartości historycznych i prostując uproszczone pod niejednym względem, obiegowe sądy. Najbardziej sporny wydaje mi się moment pewnego fatalizmu, który pobrzmiwa w wywodach p. Zawodzińskiego. Pisze on „Ale ubolewanie nad tymi grzechami... wchodzi w zakres buntu przeciwko determinizmowi dziejów i charakteru narodu, byłoby czynić jak żale poety na to, że język polski ma nieruchomy akcent i obfituje w zbiegi spółgłosek; prowadziłoby do błędnego koła rozważań, czy dlatego tacy są Polacy, że ich naród siomuniołwał się pod absolutyzmem potężniejszego niż gdzieindziej stanu szlacheckiego, czy też ten ustrój doszedł do takiej hipertrofii, — różnej hipertrofii wad polsko-szlacheckich — dlatego, że szlachta wyszła z narodu, którego charakter tań w sobie zarodki tych wad?”

Wydaje się, iż stawianie sprawy w sposób tak fatalistyczny nie ma podstaw. „Charakter narodowy” nie stanowi czegoś zdeterminowanego, określającego możliwości rozwojowe danego społeczeństwa (kwestię tę porusza p. Litwin). Wchodzimy tu na teren bardzo chwiejny w istocie. Cechy występujące w danym społeczeństwie — określane jako osobliwość „charakteru narodowego” ustala się pospolicie przez porównanie z innymi społeczeństwami, ich charakterystycznymi właściwościami. U nas operowano pospolicie porównaniami ze społeczeństwami Zachodu Europy, które tak czy owak, stanowiły długo wzór cywilizacyjny, wyszukując cechy, które określano mianem młodszości cywilizacyjnej. Nadużywane przez różnych przedstawicieli subiektywnej socjologii czy historiozofii pojęcie to posiada jednak swój zakres zastosowania. Jak mówi się o starszych i młodszych warstwach geologicznych — mówi się o „starszych” i „młodszych” społeczeństwach. Ukonytutowanie się państwowości, wyjście z okresu luźnego bytowania plemiennego nastąpiło u nas paręset lat później niż na Zachodzie — stąd różne dalsze opóźnienia. Tu występuje u nas charakterystyczna nierównomierność. Klasy wyższe poczynając od średniowiecza wchodzi w kontakt z przodującymi elementami społeczeństw o zaawansowanym rozwoju i wyprzedzają masę — przede wszystkim chłopską — która ewoluuje z opóźnieniem. Pouczający przykład stanowią dzieje naszej reformacji, która właściwie nie dotknęła życia mas ludowych, przetrwających treści średniowieczne. Ale gdy szlachta straciła swoje koniunkturalne zainteresowanie dla reformacji właśnie w XVII i początkach XVIII wieku przeżywamy takie nasilenie treści kulturalnych średniowiecza, które kraje zachodnie miały o paręset lat za sobą. Na przełomie wieku XVIII i XIX Polska znalazła się na peryferiach wpływów rewolucji francuskiej nasz trzeci stan, jak to już miałem okazję stwierdzić, szedł mocno w tyle za przodującymi elementami szlacheckimi. Opóźnienie miało pociągnąć za sobą opóźnienie w rozwoju mas ludowych — chłopskich przede wszystkim. Wraz z dużą częścią naszego trzeciego stanu przeżywały one dalej okres nadziei związanych z absolutyzmem monarchicznym — tym wyjaśnia się stanowisko podstawowych mas chłopskich w r. 1946 i r. 1863.

Prof. Chałasiński porusza sprawę oderwania się od mas, owej zewnętrznej europejskości, charakteryzującej postawę mas inteligencji (przy ignorowaniu istotnych, organicznych cech owej europejskości). To oderwanie się od mas ma dwa aspekty. Wzięte jako całość z wiera niewątpliwie sens uwieczniający, reakcyjny — łączy się z tym obojętność wobec istotnych aspiracji mas (lekceważenie interesów chłopskich przez wielu demokratów w XIX w. albo co na jedno wychodziło niejednokrotnie niezyciowe podejście do tych interesów). Ale z drugiej strony przodująca część inteligencji szlacheckiej reprezentowała czynnik awangardyzmu społecznego, któ-

ry znowuż przy wszystkich zastrzeżeniach, obfitował w momenty podnie na przyszłość. Nie trzeba przypominać zasług polskich rewolucjonistów i spiskowców dla ruchu robotniczego tak w zachodniej jak i we wschodniej Europie — tradycje te pozostały żywe po dziś dzień, stanowią one źródło żywotne polskiego socjalizmu zarówno na terenie wewnętrznym jak i międzynarodowym.

Istotnie jeden z zasadniczych rysów naszych dziejów stanowi rozdarcie kulturalne — obojętność, obojętne wzajemne mas i przodujących intelektualnie elementów kraju. Ale dziś socjalizm to historyczne rozdarcie likwiduje. Tu mamy właśnie osobliwość przeżywanego przez nas momentu: w zmienionej postaci, z towarzyszeniem odmiennych procesów polityczno-gospodarczych, masy ludowe polskie przechodzą analogiczną ewolucję, która kraje zachodnie przeszły wcześniej, pod znakiem innych przemian. Tam pierwotna aktywizacja szerokiej mas odbywała się w okresie walk sekt religijnych średniowiecza, w okresie reformacji, bojów trzeciego stanu z arystokracją, kościołem i monarchią o rzady przedstawicielskie. Wejście mas do życia politycznego odbywało się pod hegemonią trzeciego stanu oraz ideologii wyrażających jego aspiracje. Polska brała w tych procesach udział pośredni, pozostawała na nich peryferiach, bo masy ludowe nie były przez nie poruszone do samej glebi.

Istotnie głęboki przewrót dokonywany się w naszych czasach pod znakiem socjalizmu, pod znakiem przodownictwa ideowego proletariatu oraz elementów społecznych doń zbliżonych.

Tu mamy różnice kapitalne. Na zachodzie upadek wpływów arystokracji i szlachty odbywał się pod znakiem wzrostu burżuazji, upadkowi ziemiaństwa towarzyszył uwarunkowany przez ten upadek rozwój kapitalizmu.

Nasz stan trzeci nie potrafił tak pokierować rozwojem kraju. Upadek szlachty i upadek burżuazji wielokapitalistycznej u nas się zbiegają. Aktywizacja mas ludowych, wejście ich w krąg życia społeczno-politycznego, dokonane zostały w istocie przez socjalizm — przeciwko kapitalizmowi. Tutaj p. Litwin słusznie wskazuje na wkład naszej inteligencji postępowej i rewolucyjnej.

To jest istotna treść przemian czasów ostatnich. Ta ewolucja nie stanowi przecież osobliwości polskiej. Ogarnęła ona inne, określane dotychczas jako „młodsze” czy „młodziejnie” społeczeństwa Europy wschodniej. Najpełniejszy wyraz tej przemiany znalazły w Rosji, w przekołu od zastoju cywilizacyjnego, gospodarczego i społecznego caratu do socjalizmu, rozwijającego aktywność wszyst-

kich sił i możliwości mas robotniczych i chłopskich.

Nie przypadkowo przecie odrodzenie państwowości polskiej nastąpiło pod impulsem ogólnym przemian, którym dała wyraz rewolucja proletariacka w Rosji. Wiaże się to z aktywizacją mas ludowych, wynikająca z podobnych przesłanek społeczno-politycznych. Jeśli żywoły wsteczne usiłowały pokierować ewolucją w innym kierunku zwracając państwo polskie w dwudziestolecie 1919—39 przeciwko siłom, którym w istocie zawdzięczało swój byt, stało się to przyczyną wielu kłesk tak w aspekcie zewnętrznym jak i wewnętrznym, ale nie wstrzymało procesu rozwojowego w jego istocie. Od swych początków inteligencja polska stanowiła warstwę najbardziej związana z państwem. W rozwoju swoim cierpiała zarówno z powodu braku tej państwowości w okresie zaborów, jak i wskutek prymitywnych form kapitalizmu polskiego, pozostającego pod dyktandem obcego kapitału, lekceważącego rzeczywiste interesy kraju, często odnoszącego się do nich wrogo. Przemiany społeczne naszych czasów otwierają przed inteligencją szerokie perspektywy pod warunkiem, że w masie swej pozbedzie się tendencji wyodrębniania się, wyobcowywania się z ludu, że potrafi istotnie wnikać w ducha przemian współczesnych jako świadomy czynnik, że potrafi się poczuć współgospodarzem kraju. To zagadnienie zdaje się stanowić nie przewodnią wywodów p. Chałasińskiego na temat pozostałości, wynikających ze szlacheckiej genealogii polskiej inteligencji.

Dziś możemy sobie pozwolić na bardziej obiektywne, ujmowanie roli „warstwy historycznej”, która w naszych oczach zapada się w przeszłość. Niezawodnie ów ton rekryminacji i żalów, który poławiał się u nas tak często przy omawianiu tych spraw, stanie się wkrótce anachronizmem. Omówiony awangardyzm kulturalny postępowej części naszej inteligencji szlacheckiej, mający skądinąd wiele niepożądanych skutków — zawierał przede elementy cenne i przyszłości. Należy się jednak wyrzec pewnego fatalizmu historycznego, którego atmosfera ciąży jeszcze niekiedy nad tymi sprawami. Czas dzisiejszy stanowi okres formowania się nowego społeczeństwa. Materiał do niego — jak wszędzie zresztą — daje mieszanie pierwiastków tradycyjnych z nowymi. W tym trybie, w którym tworzy się stop cywilizacyjny naszych czasów, tworzy się niezawodnie i nowa pod wieloma względami postać naszego „charakteru narodowego”.

Spectator

JERZY POGORZELSKI

## Szachi — Zindja

O, Afrosjajabie, starożytne miasto,  
Stolico Tamerlana, miasto Ulug-beka,  
Szeleszczące na piaskach zieleni liściastą  
I już wtedy brzemienne przyszlą chwałą wieków.

I zaszczytnie już wtedy wpisane w historię —  
(Tu stał niegdyś Wielkiego obóz Aleksandra),  
Miasto wschodnich przepychów, artystycznych orgij —  
Jakaż, choć najbystrzejsza, mogła ci Kassandra

Przepowiedzieć, że kiedyś, po najdłuższych wiekach,  
Gdy meczety te będą już tylko zabytkiem,  
Przyjdę do ciebie, obcy wędrowiec z daleka,  
Oczy swoje napawać orientalnym zbytkiem

I śnić spokojnie w cieniu twoich minaretów,  
Gdzie obcy każdy kamień, każda cegła obca,  
O przeszłości ukrytych w twych grobach szkieletów,  
Jak bohaterach ze snu marzącego chłopca?

O, Szachi — Zindja, wielki, legendarny królu,  
Dziś byłem twoim gościem, dziś w twoim pałacu  
Zapomniałem o żrącej tęsknocie i bólu,  
O powszednich kłopotach, o codziennej pracy.

I pośród płyt mozaiki, krytych złotem kopuł,  
Stąpałem z tobą, władco, przez wąski dziedziniec,  
Gdzie z wodotrysków srebro rozpryska się wokół  
I szmerze cicho woda zwierciadlanych krynic.

A przecież ciągle, miasto z kart arabskiej bajki,  
Bajecznie kolorowe miasto Aladyna,  
Tak bardzo chciałbym, ciągnąc haszysz z wornej fajki,  
Znaleźć się na zaklętych rumakach — maszynach.

I z przywileju bajki korzystając chętnie  
Wzniesić się nagle w obłoki za zasłonę mglistą  
I praćgnąć tak gorąco, tęskniąc tak namiętnie  
Opaść nagle — na Sezam? Nie: — ziemię ojczystą.  
Samarkanda, kwiecień 1944.







byli Encyklopedyści. Po zwycięstwie nad feudalizmem, gdy burżuazja zdobywa władzę i kościół władzę nie popiera, zostaje zawarte przymierze ideologiczne. Burżuazja wyrzeka się ateizmu, jej reprezentanci ideologiczni bronią zdecydowanie idealizmu. Ponieważ rozwój nauk przyrodniczych tworzył wręcz przeciwnie realną bazę dla wzmocnienia prądów materialistycznych, najracjonalniejszym staje się wytłumaczenie, że burżuazja tak długo zwalczała kościół i jego ideologię, jak długo był on oporą feudalizmu; gdy zaś kościół przegrał, zwycięzca, burżuazja wykorzystuje tę oporę i zmienia swe stanowisko ideologiczne. Jej interes klasowy (konieczność utrzymania w ryzach mas pracujących) dyktuje bowiem konieczność sojuszu z kościołem.

W połowie wieku XIX angielska ekonomia polityczna broniła zasady wolnego handlu podnosząc ją do dogmatu liberalizmu darczego (szkoła manchesterka). Przedstawiciele starszej szkoły historycznej w Niemczech (List) bronili zasady protekcjonizmu. W polemice, jaka toczyła się dokoła tego zagadnienia zwolennicy protekcjonizmu obnażyli korzenie angielskiego liberalizmu. Dzięki potęgę przemysłu angielskiego, liberalizm gospodarczy zapewniony Anglii panowanie gospodarcze nad światem, jej konkurencja zlikwidowałaby wszelkie próby tworzenia rodzimego przemysłu w innych krajach. Stąd entuzjazm angielskiej burżuazji i reprezentującej jej interesy nauki angielskiej dla zasady wolnego handlu.

Faszizm zdecydowanie popiera filozofię idealistyczną wykazując wyraźną predykcję dla wszelkiego rodzaju irracjonalistycznych, mistycznych kierunków. Mimo iż związek filozofii z prądami politycznymi i interesem materialnym określonej klasy jest niezawodnie bardzo pośredni, idealistyczne tendencje faszystów znajdują u nich swoje wytłumaczenie. Musi on, mianowicie, stworzyć uzasadnienie ideologiczne dla swych rasistowskich i nacjonalistycznych bredni; uzasadnienie to zaś można znaleźć tylko w ramach irracjonalistycznych teorii. Wręcz odmiennie pobudki i wiezi tłumaczą łączenie się ruchów robotniczych z materialistyczną filozofią.

O co idzie nam we wszystkich przytoczonych przykładach? O wykazanie istnienia określonych pobudek i interesów społecznych, stojących za takim względnie innym kierunkiem badań naukowych. Marksizm nazywa to partyjnością, klasowością nauki. Naturalnie jest parodią marksizmu sprowadzanie wszelkich problemów ideologicznych wprost do podstaw materialnej, tłumaczenie ich wprost interesem klasowym. Nigdy i nigdzie marksizm nie wysuwał tak wulgarną tezę doceniając złożony charakter procesów ideologicznych. Ale nie da się zaprzeczyć, jeśli nie chcemy popaść w konflikt z oczywistymi faktami, że kierunek badań naukowych, zwłaszcza w dyscyplinach związanych z życiem społecznym, jest uwarunkowany interesem klasy, którą dany badacz reprezentuje.

Czy oznacza to rezygnację z prawdy przedmiotowej? Wcale nie. Problem sprowadza się tu do tego, jak rozumiemy powiązanie elementu obiektywnego i subiektywnego w naszych badaniach naukowych. Marksizm, wysuwając tezę, iż jest klasowa nauka, twierdzi, że właśnie dzięki temu jest najbliższy prawdy obiektywnej. Reprezentują bowiem proletariatu, który nie jest zainteresowany w hamowaniu rozwoju społecznego, marksizm może odzwierciedlać bez przeszkód rozwój rzeczywistości i jego prawidłowości. W zupełnie innym położeniu znajduje się nauka burżuazyjna, t. zn. reprezentująca interesy klas posiadających, ponieważ te interesy zakreślają wolności badań wyraźne granice. Tak więc właściwie partyjna, klasowa (z punktu widzenia oddalania się od prawdy przedmiotowej) jest ta nauka, która temu zaprzecza. Jeśli np. marksizm stwierdza obiektywną konieczność zmian ustrojowych na podstawie analizy rzeczywistości, to stwierdza on prawdę obiektywną, choć wychodzi z klasowego punktu widzenia. Na odwrót, ekonomia polityczna, która przeżyła tej konieczności, broniąc interesu klas posiadających, oddala się od prawdy obiektywnej, chociaż twierdzi, że jest ponad klasową.

Tak więc straszak partyjności marksizmu zupełnie inaczej wygląda, niż go popularnie malują. Jest to oryginalna koncepcja społecznego uwarunkowania badań naukowych. Nie ma ta koncepcja jednak nic wspólnego z rezygnacją z prawdy obiektywnej. Dążąc do prawdy obiektywnej, widzi marksizm jasno drogę do niej prowadzącą oraz warunki jej dochodzenia. I dzięki temu, dzięki wyraźnemu sprzeciwowi społecznego klasowego uwarunkowania swych badań, tym skuteczniej może je przeprowadzić.

—

Cóż więc, na koniec, kryje się za ujemnym stosunkiem do marksizmu?

Dotychczasowe rozważania wykazują jasno, że rzeczowe momenty nie mogą go usprawiedliwić. Pozostaje tradycyjny przesąd, na który zwrócić należy uwagę na początku. Ale ani tradycja, ani przesąd, ani rutyna nie mogą usprawiedliwić stanowiska, które uparcie wykracza przeciw zasadom nauki. Taki rzeczowo nieuzasadniony negatywny stosunek do marksizmu nabiera wyraźnie klasowego, partyjnego posmaku. I to w najgorszym tego słowa znaczeniu. Albowiem z każdego punktu widzenia, kierunek, który dopuszcza do dominacji momentu subiektywnego przestaje być nauką. O tym muszą pamiętać i nasi rodacy przeciwnicy marksizmu.

Adam Szaff

MIECZYŚLAW WIONCZEK

## Noty o muzach nad Tamizą

Londyn, w kwietniu

1. W Wielkiej Brytanii wciąż są trudności z papierem, odbijające się na ilości i nakładach nowych książek. Każda z nich zresztą nosi w dalszym ciągu na odwrocie karty tytułowej napis: książka ta została wyprodukowana zgodnie z obowiązującymi przepisami oszczędnościowymi. Ruch wydawniczy wciąż tu uboższy nie tylko uboższy, niż w Stanach, ale nawet niż w sąsiedniej Francji. Wiele z cenniejszych wydawnictw już w dwa czy trzy tygodnie po ukazaniu się ulega wyczerpaniu. Niewiele wznowień. Książków trzeba szukać po antykwariatach, których ilość w porównaniu do lat przed wojną wzrosła w Londynie znacznie. Książki są drogie, piekielnie drogie. Nawet groszowe wydawnictwa Pingwina i Pelikana, które przed wojną kosztowały sześć pensów, zdostały dwukrotnie. No i są o połowę cięższe, niż za dawnych, dobrych czasów.

2. Lektorzy wielkich angielskich wydawnictw jak: Constable, Methuen czy Cape, są rozdrażnieni. Mimo stosów napływających rekopisów literackich nie ma w nich nic odkrywczego, żadnych wielkich pozycji, czy przypuszczalnych sukcesów wydawniczych. Dotyczy to zarówno prozy, jak poezji, czy esejów. Przez czas wojny było parę doskonałych poetyckich debiutów. Cóż, kiedy autorzy padli na frontach. Literackie pokole nie międzywojenne ma już dzisiaj swoje pięć dziesiąt parę lat. Czeka się więc na młodych, a młodych wciąż nie ma.

A raczej starsi i młodzi wciąż teoretyzują. Jest jednak jakiś wspólny nurt w całej literaturze europejskiej, skoro te dyskusje artystyczne na łamach angielskich periodyków literackich i literacko-naukowych przypominają problematyka nasze dyskusje literackie na łamach „Odrodzenia” czy „Kuznicy”. Nawet termin zamówienie społeczne — nie jest im obcy. Stare wygi krytyczne radzą jednak zachować cierpliwość. Trzeba spokojnie odczekać, aż olbrzymia suma przeżyć wojennych uleży się w umysłach pisarskich i aż przetrwają one te zmiany społeczne, jakie przyniosła wojna. A wszyscy zgodnie twierdzą, że rok czterdziesty szósty jest znacznie dalej trzydziestego dziewiątego, niż osiemnasty — czasów Sarajewa.

3. A jednak nie wiemy o kulturze angielskiej prawie nic. Po prostu nie znalazła swego Boga-Zełańskiego. Przygodnie wyprawy naszych anglistów czy intelektualnych globetrotterów w świat Wielkiej Brytanii wprowadzały raczej w błąd niż informowały. Znakomitym dowodem jest historia z Chestertonem. Z ciekawości szukam śladów tego pisarza w życiu dzisiejszej Anglii. Nie ma żadnych. W wielkich nawet księgarniach nie sposób dostać książek tego pisarza. Od dni jego śmierci nie było zdaje się żadnego wydania żadnej jego książki. Opowiadają mi, że i za życia nikt tutaj nie traktował go poważnie. „He was funny” — oto największy komplement, jaki o nim usłyszałem. Wesolek!... A tymczasem w książce Borowego urastał do rozmiarów jakiegoś wielkiego ideologa i myśliciela. — Trudno o bardziej tragicomiczne nieporozumienie, z którego u nas w Polsce powstawał mit o renesansie katolicyzmu i ideałów średniowiecza w Anglii międzywojennej, na pociechę naszym estetyzującym „humanistom”. Zresztą wystarczył przecież przeczytać dokładnie chestertonowską „autobiografię”, aby przekonać się, że autor naprawdę nie miał nic do powiedzenia, ani o sobie, ani o świecie. Czyż wystarczy, że potrafił pisać czasami pięknie (vide strony książki o Dickensie)? Milczenie wiszące w Anglii nad Chestertonem dowodzi, że od wielkiego pisarza wymaga się nieco więcej...

4. Osemdziesięcioletni H. G. Wells jest umierający. I jakkolwiek jego liczni antagoniści twierdzą z ironicznym uśmiechem, że czyni to od szeregu miesięcy, jego ostatnia książka: „Mind at its tethers” wskazuje wyraźnie na to, że ten człowiek stoi w obliczu śmierci. Jest tragiczna i wstrząsająca — i wobec profetyczności całego pisarstwa Wellsa, której znaczna część przecież się na jego oczach sprawdziła, — mogłaby niepokoić. Mówi bowiem o umyśle ludzkim, który stoi na skrajnej przepaści i... musi się w nią osunąć. Jeśli te ostatnie słowa Wellsa nie przerażają, to dlatego, że widać wyraźnie, że wypowiada je człowiek, utożsamiający własną zbliżającą się śmierć z końcem świata. A jednak na pewno nasza śmierć nie jest śmiercią świata. Nasuwa się tutaj nieodparcie, uwielbiana

5. niestety temu wielkiemu umysłowi, porównanie. Porównanie z naszą emigracją intelektualną, wieszczącą koniec cywilizacji. Miałem właśnie w ręce dwie książki Zygmunta Nowakowskiego i jego londyńsko-nowojorskich satelitów. Noszą tytuły: „Dzwon ze smertarza” i „Wiek kłeski”. Czyż nie można odpowiedzieć na nie niemieckim przysłowiem: „Morgen ich auch ein Tag”?

W niezliczonych londyńskich księgarniach i księgach z czasopiśmiennicami leży przedostatnia książka Wellsa: „Crux Ansata - An Indictment of the Roman Catholic Church”. — oskarżenie kościoła rzymskiego. Jest to niewielka dziewięćdziesięciostronicowa broszura. Nie czytałem dotąd nigdy równie ostrego pamfletu na papierze i kościół. Pisany był w roku 1943, przed ofensywą aliancką na Włochy. Dla żadnego uczciwego człowieka — mówi w niej Wells — nie może być obojętną rola Watykanu w tej wojnie. Nie tylko nie zdobył się on na słowa weta, ale potrafił cudownie flirtować z przedstawicielami Berlina i Tokio w dniach, kiedy miliony ludzi udawali się przez kominy krematoriów w dolinę Józefata.

Przypominają się tu natychmiast przedwojenne pamflety żarliwego katolika Bernosona na zdradę Kościoła w konflikcie faszystów z ideałami wolnościowymi. Wolno wątpić, czy defilada kardynałów wszystkich narodów w Rzymie potrafi odbudować utracone zaufanie myślących wiernych.

6. Drugi wielki mędrzec Anglii, G. B. Shaw, mimo, że dziesięć lat ma więcej od Wellsa, nie podziela jego pesymizmu. Pracuje dalej, pracuje bez wytchnienia, zagrzebany w swej posiadłości w środkowej Anglii, odległej o dwie godziny marszu od najbliższej stacji kolejowej. Tylko przestał przyjmować gości. Jestem zażenowany swoją starczą powierchownością — pisał niedawno do jednego ze swoich przyjaciół. Chcę skończyć z tym sezonem trzy nowe sztuki, a w międzyczasie wydać książkę pod tytułem: „Everybody's political what is what” czyli „przewodnik polityczny dla każdego”. Książka ta niewiele ma wspólnego z polityką, jest raczej introdukcją w naszą epokę, tak jak ją widzi umysł Shawa. Gdyby należało to dzieło bliżej zdefiniować, to jest ono chyba igraszka intelektualna wysokiego gatunku, ale zawsze pozostanie igraszka jak wszelka nie sensu stricto artystyczna działalność tego genialnego żartowniś. Ciekawe, co powie-działby Shaw na reklamowany i oglądany szeroko nowy film, będący przeróbką jego „Cezara i Kleopatry”. Jest to chyba najkosztowniejsze morderstwo artystyczne, sądząc po kosztach realizacji tego filmu. Naprawdę nie można wysiedzieć na sali do końca, mimo, że za bilet płaci się bardzo wiele.

7. Z nowym teatrem w Anglii jest taki sam kłopot, jak z nową prozą i poezją. To, co się gra, nie wyrasta wciąż ponad przeciętność, przeciętność oczywiście stosunkowo wysoką. Widać próby stworzenia repertuaru społecznego, który by wychowywał widzów. Próby te są związane z inicjatywą Labour Party organizowania teatrów wędrownych dla miast pozbawionych stałych dobrych scen. W kilku z nich grano już słabe jednak niesłychanie sztuki na tematy takie, jak węgiel czy trade-uniony. Warto, aby wiedzieli o tym nasi entuzjaści Anglii, a równocześnie wrogowie „sztuki tendencyjnej”. Tymczasem ogólne powojenne zubożenie i niechęć inicjatywy prywatnej do ryzyka finansowego (teatry angielskie są przedsiębiorstwami komercyjnymi) prowadzi do tego, że równocześnie z tłokiem w istniejących teatrach londyńskich, gdzie trzeba czekać tygodniami czasem na bilety, trzydziści gmachów teatralnych w stolicy Anglii stoi pustką.

8. Czytałem niedawno w „Odrodzeniu” uwagi Krzywickiej o teatrze paryskim, gdzie stwierdza ona dość powszechną psychopatyczność i niernormalność tematyki teatralnej i filmowej we Francji. Tutaj, a nawet rzekomo i w Stanach Zjednoczonych jest bardzo podobnie. Nie tylko w wielu teatrach idą sztuki, których postaci zachowują się najzupełniej irracjonalnie i których concept graniczny zręzo z „pure nonsense”, ale podobne objawy występują także we współczesnym filmie angielskim. Jednym z wybitniejszych reżyserów filmowych Anglii, aktorem o dużej kulturze artystycznej — jest James Mason, grywający z rezultaty neurotyczne role w freudowskich filmach. Te ponure i mroczne filmy cieszą się wielkim powodzeniem. Starsi i wy-

9. trawni obserwatorzy życia kulturalnego każą nie przywiązywać specjalnej wagi do tej mody, jako ubocznego produktu wojny. Za parę miesięcy nie pozostanie po niej ani śladu — twierdzą.

Londyn nigdy nie był miastem sprzyjającym intensywnemu rozwojowi plastyki. Przyczyną jest chyba beznamiętne traktowanie przez twórców i publiczność problemów sztuki, choć serio, to jednak nie z należytą im pasją. Nie stał się on centrum sztuki i w latach wojny. Malarska emigracja europejska podążyła ku Nowemu Yorkowi i Ameryce Południowej. Teraz, kiedy wraca na kontynent, okazuje się, że wojna nigdzie nie sprzyjała twórczości plastycznej. Wielcy przedwojenni: Matisse, Picasso i Bonnard pozostali nadal jedynymi wielkimi. Nowe salony i wernisaże Londynu i Paryża nie ukazują nic więcej nad doskonałą przeciętność.

A jedynym ewenementem artystycznym dzisiejszej Anglii są wystawy wielkich francuskich starców: Picassa i Matisse'a. A więc jeszcze raz to samo, co w innych dziedzinach kultury.

10. Pośrednictwo w wymianie kulturalnej polsko-angielskiej powierzono Florianowi Sobieniowskiemu, którego nazwisko związane jest nieodłącznie z dziejami nowoczesnego teatru angielskiego w Polsce. Ten wieloletni przyjaciel Bernarda Shaw, tłumacz Shawa, O'Neill'a, Johnstona i innych dramatów anglosaskich, badacz powieści wiktoriańskiej i autor kilku cennych przekładów z literatury polskiej na język angielski, jest chyba najbardziej „the right man in the right place” tu w Londynie, gdzie wśród pisarzy i wydawców angielskich spędził blisko dwadzieścia lat. Kiedy rozmawiamy o perspektywach tej wymiany kulturalnej, bezholowie Nat międzywojennych stoi stale przed oczyma. Pod stosami przekładów angielskich Miazgówien w rodzaju Dell czy Eleonory Glyn, którymi nasi prywatni wydawcy ze względów kasowych karmili naszą publiczność literacką, musiało oczywiście utonąć to wszystko, co należało do kultury angielskiej przyswoić naszej kulturze. Tym bardziej w odwrotną stronę, poza nielicznymi wyjątkami — jak właśnie działalność Sobieniowskiego — nie robiło się nic.

I jakkolwiek rynek kulturalny angielski jest w dużym stopniu „impermeable” dla kultur kontynentalnych, a zwłaszcza słowiańskich (np. do repertuaru teatru angielskiego w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat weszli na stałe tylko dwa pisarze z kontynentu — Ibsen i Czechow), to jednak jest tu wiele do zrobienia. Cóż jest na warsztacie? Tom nowel o tematyce okupacyjnej, drukowanych w naszej prasie literackiej, jedna czy dwie powieści międzywojenne, a z pisarzy zmarłych: Orkana — W Rostokach, Tetmajera — Na skalnym Podhalu, Żuławskiego — trylogia „Na srebrnym globie”, o którą stara się równocześnie dwóch angielskich wydawców, no i chyba przede wszystkim tak interesujące angielskich szekspirologów — studium Wyspiańskiego o Hamlecie.

Tyle na najbliższe parę miesięcy. A po tym Prus, być może Orzeszkowa i najnowszy powojenny teatr polski. I nadzieje na rychłe rozpoczęcie działalności przez UNESCO — sekcje międzynarodowej współpracy intelektualnej UNO. Ale najważniejsze, że coś się zaczyna dziać i że kierownictwo tych ważnych prac powierzono właściwemu człowiekowi. Ministerstwu Kultury i Sztuki — cześć.

11. Mimo wszystko, co w prasie krajowej na temat filmu „Dyktator” czytałem, naprawdę nie jest on ani w Londynie, ani nigdzie „dernier cri”. Zszedł z ekranów przed dwoma czy trzema laty. Pokazywano go ostatnio w związku z londyńskim UNO i co się okazało? Że po drugiej wojnie światowej wywołuje on u widzów niezamierzone wrażenia. Hitler w filmie Chaplina to nieszkodliwy półinteligent, z którego można czy trzeba się śmiać. Twórcy nakręconego przed wojną filmu nie mogli przecież przewidzieć, że ten oto półinteligent potrafi pogrzebać przed własną śmiercią kilkanaście milionów ludzi. I oto jego powojenny widzowie nie mogli w sobie za nic wzbudzić śmiechu, wyszli z pokazu z niesmakiem. Uprasza się więc polskich dyktatorów filmowych, aby przestali wdychać do chaplinowskiego „Dyktatora”. Nawet nie jest wcale tak kosztowny, jak im się wydaje. Po prostu zmarł jako film, którego dzisiaj oglądać nie sposób.

JULIUSZ SALONI.

# Prawda Grażyny

Fragment wstępu do nowego wydania „Grażyny” w wydawn. „Książka”.

„Grażyna” nie powstała od razu, nie jest wynikiem jednego krótkotrwałego aktu twórczego. Prawdopodobnie początkami swoimi sięga jeszcze roku 1818, kiedy to w Towarzystwie „Filomatów” recenzował Mickiewicz dla grona przyjaciół „Jagiellonidę” Dyzmy Bończy Tomaszewskiego.

Utwór Tomaszewskiego był słaby, nieudolny; pamięć o sobie zawiązała tylko temu, że zaszczylił go swoją recenzją mistrz słowa. Ale „Jagiellonida” była wyrazem chwili, wyrastała z tendencji ogólnej panującej w ówczesnym świecie literackim, z tendencji stworzenia wielkiej historycznej epopei rycerskiej.

Z postaci historycznych, które „nadawaly” się do pasowania na bohatera poematu bohaterskiego z dziejów Litwy, wybór Mickiewicza padł na drugiego synowca Kiejstuta „swawolnego i nieposłusznego” Dymitra Korybuta Olgierdowicza, który „ani Kiejstuta stryja, ani żadnej zwierchności Wielkiego Księstwa Litewskiego nie chciał przyznawać”. Tego to brata Jagiellowego wezwał Witold, ażeby mu „hold i przysięgę wierności i poddaństwa jako panu zwierchniemu, a wielkiemu księdzu litewskiemu uczynił” i „danie należną wypłacił z księstwa siewierskonowogrodzkiego”. Hardy Olgierdowicz odmówił; wtedy wybuchła krwawa wojna, zakończona klęską buntownika. Tyle Strykowski; a z kronik niemieckich (Dzieje narodu litewskiego) można było jeszcze zacerpnąć wiadomość, że w r. 1392 Witold połączył się z Krzyżakami, ażeby odebrać Dymitrowi Korybutowi Lidę, zbrojnie przez niego zagarniętą.

Z tego materiału, czerpanego z kronik powstawała w roku 1819 poważna historyczna epopea Mickiewicza nosząca tytuł znany nam z rękopisu: „Korybut, książę Nowogrodka. Poemat z dziejów litewskich”. Niezłoty los tego księcia, jego walka ze stryjem Kiejstutem, a potem z bratem stryjczym, Witoldem, klęska, związanie podstępem, uwięzienie, wreszcie śmierć w bitwie nad Worskłą (1399) stanowiły szkielet akcji epickiej, około którego mogły się zgrupować świat i dzieje starożytnej Litwy. Pomyłka Mickiewicza było, że na terenie działania Korybuta wyznaczał swoje rodzinne miasto, Nowogrodka, że dworem książęcym zaludniał ruiny zamkowe znane sobie z dzieciństwa; albowiem w rzeczywistości Korybut nie na litewskim Nowogrodku panował, ale na dalekim Nowogrodzie Siewierskim.

Epopea bohaterska zakrojona była na wielką skalę. Łatwo z tekstu dzisiejszego odnaleźć jej początek; brzmiał on z wyjątkiem początkowych 80 wierszy prawie tak samo jak pierwsza połowa dzisiejszej „Grażyny”. Chodzi tu o wielkie sprawy, o wielkie zbrodnie. Zaborczy Kiejstut nie przebiega w środkach, gdy idzie o zdobycie władzy i przywłaszczenie cudzych dzierżaw; Korybut nie przebiega w środkach, by obronić swój stan posiadania; w zaciętych walce doszedł do najdalszych granic — przekroczył je nawet; przeciwko groźnemu krewnemu złączył się sojuszem z wrogiem narodu: z Krzyżakami. Pycha, zazdrość i poczucie doznanej krzywdy zaślepiło go do tego stopnia, że nie dostrzegł okropności swego czynu.

Wchodzimy w sferę najważniejszych, najdonioślejszych interesów książęcego feudalnego dworu. Bohater poematu wyjawia nam motywy swojego działania w rozmowie z zaufanym sługą i doradcą; odsłania cel: obronę własnych osobniczych praw; planuje środki, które obrał, ażeby cel osiągnąć.

Wtedy dochodzi do głosu stary, wierny Rymwid, uosobienie mądrości i powagi, odpowiedzialny pełnej za dokonany czyn. Jego prawda to nie prawda uczuć wzburzonych, namiętności, niezaspokojonych pożądań; on wie, że zgoda z Krzyżakami rozszepi naród więcej, niż krew przelana w bratobójczej wojnie; jego prawda wypływa z mądrości istotnej.

I wypowiada ją najsilniejszymi słowami, jakie w sprawie niemieckiej zostały kiedykolwiek w polskiej mowie powiedziane:

*Lecz krzyżackiego gadu nie ugłaszczę  
Nikt ni gościńca, ni prośbę, ni dary;  
Maloż Prusaki i Mazowsza cary  
Ziem, ludzi, złota wepchnęli mi w paszczę!  
On wiecznie głodny, choć pożarł tak wiele,*

*Na resztę naszą rodziera gardziele.  
Spólna moc tylko zdola nas ocalić!  
Przebrzydły Zakon podobny do smoku:  
Jeden leb utnieisz, drugi rośnie skoro  
I ten, ucigły, rośnie w dziesięcioro.*

*Wszystkie utnijmy! Na próżno się trudzi  
Kto naszych szczerze chce godzić z Krzyżaki  
Bo czy to z leniżów, czyli z prostych ludzi  
Na Litwie całej nie najdzie się taki,  
Co by ich nie znał chytrości i dumy,  
Nie stronil od nich jak od krymskiej dżumy;  
Co by nie wolał stokroć od ich broni  
Raczej śmierć w polu, niżli pomoc zyskać,  
Raczej żelazo rozpalone w dłoni,  
Niżli krzyżacką prawicę uściskać!*

Do wielkich, bohaterskich spraw przybyła ze słów Rymwida wielka bohaterska prawda. Jak w Homerowej „Iliadzie” stanęli przeciw sobie zwaśnieni rycerze i trwają w gniewie mimo wezwań prawdę znającego Nestora. I tak, jak w tamtym nieśmiertelnym poemacie, nie cofa się w mściwym zapamiętaniu Achilles-Korybut. Możemy oczekiwać dalszego ciągu: owych nieszczęść bez liku, owej hekatombie z ciał wojowników rzuconych psom i krukom na pożarcie, owego stracenia tysięcy ich dusz w głębi ciemności Hadesu. Możemy oczekiwać szerokiego teatru wojny, pokazania nam wytwornych dworów Kiejstutów, bitew i zapasów, zakończonych klęską Olgierdowicza syna. A może jeszcze przed tym czekało odkupienie jego win przez czyjaś śmierć ofiarą. Jak w Iliadzie śmierć Patroklesa tak tu, w poemacie z dziejów Litwy, może owa niewywanowana żona Korybuta, Karyna, miała odegrać rolę odkupicielki? Z „Jerezolimy wyzwolonej” Tassa, epopei, tak dokładnie znanej Mickiewiczowi z lektury i analizy uniwersyteckiej Borowskiego, czerpać można było przykłady piękne kobiecego bohaterstwa. Na razie jednak nie było na to miejsca — to był materiał do ksiąg dalszych, a zanosilo się ich pewnie ze dwanaście.

Co przerwało ten bohaterski, iladowo-jerezolimski pomysł, tego nie wiemy i nie próbujemy dociekać. Tak jak w dotychczasowym rozważaniu, niech sam za siebie mówi tylko poemat. W roku 1819 urwał się mniej więcej w środku dzisiejszej swej postaci i spoczął w tece manuskryptów poety na długie miesiące i lata. Dopiero w Kownie, kiedy w związku z koniecznością wydania tomiku drugiego przystąpił poeta do przegledania materiału, odnalazł i początek zarzuconego „Korybuta” gdzieś na samym dnie...

Jakże odległe były owe czasy, kiedy ideałem kształtowania poetyckiego był klasyczny epos bohaterski, na tle historycznym rozsnuty. Przebyto się już i epokę germanomanii i brytanomanii. Przez serce przepłynęło tyle uczuć namiętnych, wszechwładnych — które bez klasycznych wędzideł znalazły swój pełny, doskonały wyraz. Do kontynuowania pracy nad dawnym klasycznym poematem o Korybutcie nie można już było powrócić. Ale można było i należało ratować koncepcję, w dużej części nawet już wykonaną, a domagającą się pełnego wyrazu. Nasuwał się nowy rodzaj literacki, epylion, miniatura wielkiego poematu epickiego; nainowszą zdoławszy kompozycji epickiej: powieść poetycka. W tych ramach należało ściętnić obszerny w tek — w niewielkiej ilości wierszy wyrazić wszystko, co stanowiło istotę pierwotnego pomysłu, odrzucić wszystko, co było przepiśmowym klasycznym balastem.

x x

Wobec tych nowych zadań rzeczą mało-ważną stała się wierność historyczna, w ogóle cały historyzm stał się niepotrzebny. Wystarcza uczasowanie ogólne: za czasów Witolda, syna Kiejstutowego, kiedy Krzyżacy gnebili Litwę; kiedy księżęta miast łączyły się przeciw wspólnemu wrogowi — żarli się między sobą i na pomoc przeciwko sobie używali wrogów Litwy. Przykładem tego jest nie historyczny Dymitr Korybut, ale jakiś prawnik Giedyminowy, nieznan w historii, Litawor. Dla uwydatnienia myśli już niepotrzebny opis dworców Witoldowych — wystarczy sama relacja Litawora o ich wspaniałości. Już nie chodzi o szczegółowe miejscowości na obszernym terenie; tu wystarczy drobny, mały skraweczek ziemi o czystej, rzeczką, dolina otoczona puszcza jak „wszędzie u nas”; bo na tym „połu Litewki” rozrywa się nie szczegółowa scena z historii Litwy, ale krwawi się nieszczęsna Litwa cała szarpana „pojedynkowym” interresem książątek.

Dla uwydatnienia kolorytu czasowego wystarczała wreszcie zręczna stylizacja archaiczna przez wprowadzenie kilkudziesięciu słów ze słownika staropolskiego, kilkudziesięciu form zamierzchłych. Tak się pisało ten poemat przed latami; dziś wystarczy znacznie skromniejszy aparat archaizujący — tylko tyle, ażeby utrzymać poemat w jednolitym tonie, przykryć go patyną dawności. Już Mochnickiemu chwycił ten styl starą zbroją, okrywał się powagą szanownej staro-

ści. I dla nas pobrzmiwa on dostojną gwara średniowiecznych zabytków.

Z listów wiemy, że praca nad tą przeróbką toczy się pod znakiem „niechętej muzy” (invita Minerva), że wiersze ciągną się jak „druty żelazne”. Nic w tym nie ma dziwnego; wszak najtrudniejsza praca to „przerabianie”. Ale poemat rośnie, kształtuje się w nowej postaci, nabiera nowego artystowskiego charakteru, nie uroniwszy nic z tego, co najważniejsze.

Zadanie było jasne: uwydatnić jak naj-silniej prawdę Rymwidową, nie zaprzepaścić jej w powodzi szczegółów.

Zwieriała się więc na przeciąg kilku godzin obszerna akcja, obliczona pierwotnie na długie zapewne miesiące. „Sprawa” już nie toczy się rozwlekle jako partia rozgrywana wśród rozmaitych chwytów taktycznych, dyplomatycznych wahań i decyzji; ale wprost „na gorąco” w obliczu postów krzyżackich, którzy pozostawiając pod miastem swe pan-cerne szyki, nie na pertraktacje wstępne na zamek przybyli, ale po to, by obradzić taktyczne wykonanie umówionej ludzkiej wyprawy. Może być, że źle rozłożone są czynności w czasie tej pamiętnej dla całych pokoleń nocy; może być, że twardy racjonalizujący krytyk wykryje w porównaniu z rzeczywistością liczne nieprawdopodobieństwa, może ktoś będzie niezadowolony, że Litawor zaniedbał załatwienia najważniejszej sprawy: przyjęcia lub odprawienia posłów krzyżackich. Wszystko to stanie się jednak nieważne, jeżeli tymi niedociągnięciami można było wyratować jedną sprawę: prawdę Rymwidową.

Więc zaraz, natychmiast musi wkroczyć Patrokles; musi wkroczyć w akcję i zacząć działać szybko, sprawnie, nieomylnie, byle nie dopuścić do katastrofy ostatecznej. Tak to na podłożu pogańskiej pierwotnej Litwy wstępowała lekkim krokiem wyrazielka wielkiej prawdy narodowej, Grażyna.

Jeżeli Rymwid zabierał głos wobec pana swojego i księcia, to był tylko wyrazielcem innego niż Litawor poglądu na sprawy książęcego dworu. Ten dom zaciętnił się w sferze własnych interesów; egoistyczne cele, osobiste namiętności, duma, pycha, żądza używania to motory działania książątka. Rymwid zna prawdę ludu o Krzyżakach, jest wyrazielcem opinii powszechnej o nich; ale w argumentacji wysunął raczej na plan pierwszy pozytyw księcia; jest łącznikiem między pospółstwem a dworem, ostrzegą przed nastrojami, które zwrócić się mogą przeciwko księciu, o ile swój zamiar wykona. W zapamiętaniu patriotycznym wypowiedź nieogólnie: „To być nie może”. „Będzie i być musi” — odkrzyknie mu jego władca, i Rymwid cofnie się, wypelni rozkazy, bo na powinność służy. Powróci do postawy przyiętej na wstępie, a wyrażającej się w słowach zupełnego, bezwarunkowego oddania:

*Panie, gdziekolwiek chcesz swoje godzę  
Nigdy nie na ludziach i konicach nie zbędzie.  
Wskaz tylko droge, my za twoją wodzą  
Nie patrząc, kędy, gotowi iść wszędzie.*

W imię dobra swojego pana, chcąc go ratować przed niepopularnością, poidzie jeszcze próbować interwencji księżny.

Grażyna nie różni się w poglądzie na sprawę od Rymwida; ale zarazem, choć zapew-

ne równie jak Rymwid do posłuszeństwa zobowiązana, czuje w sobie moc, moralne prawo przeszkodzenia złym zamiarom męża. W całym poemacie nie znajdujemy ani jednego słowa wyjaśniającego motywy działania Grażyny. Lecz na tle przemowy Rymwida motywy te stają się jasne. I ona na swoją argumentację uczuciową nic innego usłyszeć nie mogła, jak tylko: „być musi”. Tylko Grażyna „uje się zespolona z owym „gminem”, z „pospółstwem ślepym” bardziej niż z mężem i panem; poczuwa się do obowiązku staniać w poprzek nie tylko temu, co hańbi ukochanego mężczyznę, ale przede wszystkim temu, co zabija naród. Jest Grażyna nie tylko symbolem wyzwolenia kobiety spod supremacji męzowskiej, ale przede wszystkim symbolem działania w myśl istotnej prawdy narodu. To przedstawicielstwo, to zespolenie z ogółem pieczętowała Grażyna wobec twardości obyczaju feudalnego dobrowolną ofiarą z własnego życia. I wygrała sprawę; między Litwę i krzyżactwo rzuciła własnego tupa — jakże trudnego do przekroczenia — a sobie samej wybudowała pomnik najszczytniejszego bohaterstwa.

Wobec sugestywności ujęcia sprawy głównej, czytający lekceważy drobne uchybienia sytuacyjne w czasie czy przestrzeżeni. Grażyna nie porywa przez pragmatyczny skład zdarzeń, lecz przez napięcie troskliwej niepewności; Co się stanie? Jak przy czytaniu „Lili” jesteśmy dla nich samych skłonni u-wierzyć we wszystkie cuda bez naruszenia naszego życiowego poglądu na świat, tak i w Grażynie wierzymy we wszystkie niemożliwości czasowe i przestrzenne; za cenę tego ustępstwa możemy bowiem uwierzyć także w to, co piękne i pełne wartości: że już w XIV wieku w dzikiej, pogańskiej Litwie była taka kobieta jak Grażyna, która niosła życie w ofierze za dobro i prawdę swojego narodu.

W rękopisie kończył poeta Grażynę takim czterowierszem:

*Ludy słuchajcie! Dla naszej nauki  
.... słuchajcie i zważcie dokładnie  
Wy, syny wasze, wników waszych wnikł  
Niechaj to w sercu zachowają na dnie.*

W druku czterowiersz ten usunął. Nie dlatego chyba, żeby podkreślić brak tendencyjności w utworze, ale dlatego, że „nauka” jest tu nieodłączną częścią tej ballady o pięknej księżnie, że nie istnieje ani jako moral, ani jako marginesowa uwaga, lecz, że zwarla się w jedność z postacią w prostocie jej czynu i patosie jej śmierci.

W poprzednim (18) numerze „Kuznicy” z dnia 13 maja 1946 r.: Roman Werfel: Siła i słabość Tadeusza Kościuszki. — Stanisław Pleski: Powstanie warszawskie 17-18 kwietnia 1794 r. — Zanna Kormanowa: Warszawa w Insurekcji. — Natalia Gasiorowska: Reforma włościańska Kościuszki. Władysław Rymkiewicz: Słuby Jana Kazimierza a Uniwersał Polaniecki. — Szym: Wydawnictwa Kościuszkowskie. — Stanisław Sreniewski: Tadeusz Kościuszko. — Ignacy Koral: Kondycja Kościuszki. — Edward Czata: Kwiatki Kościuszki. — Adam Ważyk: Sukmana. — Władysław Krasnowiecki: Jak wystawiliśmy „Sukmana” — ph.: Przegląd prasy. — Mariusz Marjał: Kronika czeška.

## PAŃSTWOWE ZJEDNOCZENIE PRZEMYSŁU PIWOWARSKO-SŁODOWNICZEGO REJONU ZACHODNIEGO

Bydgoszcz, Zbożowy Rynek 9. — Telefon 18-36 i 17-36

poleca swoje wysokogatunkowe piwa:

Zdrój Wielkopolski

(j a s n e)

Imperator

(c i e m n e)

Karam - El

(s ł o d o w e)

Koziół

(c i e m n e - p e ł n e)

Oranżady, Lemoniady i Wodę sodową



JAN KOTT

# Prawo wydawania klasyków

W ostatnich miesiącach nastąpiło u nas znaczne ożywienie ruchu wydawniczego. Niestety, brak urzędowego wykazu druków nieperiodycznych uniemożliwia dokładne zdanie sobie sprawy zarówno z ilości wydanych książek i broszur jak też i ich rodzaju. Pewne ogólne wnioski można jednak sformułować. Najlepiej przedstawia się sprawa literatury współczesnej, gorzej podręczników, jeszcze gorzej wydawnictw naukowych a już zupełnie źle — wznowień klasyków. O podręcznikach i literaturze naukowej nie chcę w tej chwili pisać. Rzec domaga się specjalnych rozważań. Pragnę tylko zaznaczyć, że książki naukowe nie wychodzą i nie będą wychodzić, o ile nie zostaną przeznaczony na ten cel odpowiednie środki i powołane odpowiednie instytucje. Nie mówiąc już o prywatnych wydawcach, nawet spółdzielnie wydawnicze mogą w swoich planach wydawniczych tylko w drobnej mierze uwzględnić potrzeby nauki polskiej.

Gdy mowa o literaturze współczesnej, mamy raczej brak rękopisów niż brak chętnych wydawców. Dobry powieściopisarz jest dzisiaj w położeniu monopolisty. Może dyktować warunki, może swobodnie wybierać wydawcę. Spodziewać się należy, że w ciągu roku ukąże się drukiem wszystkie możliwe do wydania książki, napisane w okresie okupacji lub w pierwszym okresie po wojnie. Książki te wychodzą w stosunkowo dużych nakładach. Dotychczasowe doświadczenia pokazują, że dobry tom wierszy rozchodzi się w 5.000 egzemplarzy, że średnia powieść liczyć może na 25 tysięcy czytelników. Są to cyfry bardzo pocieszające i świadczą niewątpliwie o rozszerzeniu kręgu dotychczasowych odbiorców literatury. Literatura współczesna nie stanie się jednak nigdy podstawą masowego czytelnictwa. Wszyscy to już wielokrotnie powtarzali — nowa, młoda inteligencja wychowywać się musi na arcydziełach literatury, na klasykach. Odbudowa bibliotek powszechnych — to sprawa wznowień klasyków.

Wydawaliby się pozornie, że nawet z punktu widzenia finansowego wydawanie utworów klasycznych jest złotym jabłkiem dla każdego wydawcy. Tymczasem dzieła klasyków polskiej literatury nie ukazują się w nowych nakładach. Dlaczego? Okazuje się, że główną przeszkodą nie jest brak papieru (papieru mamy znacznie więcej, niż przypuszczaliśmy), ani brak drukarni (drukarnie jeszcze nie są w pełni wykorzystane), lecz system nabytych lub odkupionych praw wydawniczych. Jak wiadomo prawa autorskie gasną dopiero po pięćdziesięciu latach od śmierci pisarza. Po tym okresie dzieła literackie stają się dobrem powszechnym i każdy wydawca ma prawo je drukować i rozpowszechniać. Utwory większości naszych pisarzy, z okresu pozytywistycznego znajdują się jeszcze pod ochroną prawa autorskiego. A są to właśnie nasi klasycy, jedyni polscy pisarze, których dzieła wejść mogą do bibliotek ludowych, których możemy i musimy wydawać w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy. Prawami wydawniczymi rozporządzają bądź spadkobiercy, bądź prywatni wydawcy.

Weźmy pierwszy lepszy przykład. Zapolska prawa do wszystkich swoich dzieł sprzedała niegdyś właścicielowi firmy wydawniczej „Lektor”, p. Lewickiemu. Lewicki naprzód zbankrutował, potem umarł. Prawa odziedziczyła jego żona, która wyszła powtórnie za mąż. Obecnie wszystkimi prawami do dzieł Zapolskiej rozporządza w imieniu nieletnich dzieci p. Lewickiej z drugiego małżeństwa jej drugi mąż. Bez jego zgody ani grać ani wydawać Zapolskiej nie wolno. Oto przykład absurdów, do jakich doprowadzają święte prawa własności i dziedziczenia w dziedzinie dóbr duchowych.

Niewiele lepiej przedstawia się sprawa, kiedy prawami autorskimi do dzieł klasyków rozporządza któraś z istniejących dawnych firm wydawniczych. Dla polityki kulturalnej racjonalne wydawanie dzieł Prusa, Orzeszkowej i Żeromskiego jest równie ważne jak wydobywanie węgla czy produkcja żelaza dla polityki gospodarczej kraju. Nie można pozwolić, aby cena i nakład klasyków zostały uzależnione od kalkulacji prywatnego wydawcy, obliczonej z reguły na osiągnięcie maksymal-

nego zysku. Nie można pozwolić, aby którekolwiek w Polsce mógł być panem na Sienkiewicz, Żeromski, Prusie czy Orzeszkowej. Argumenty o wkładzie finansowym prywatnych wydawców i ich trosce o książkę są cyniczne. Wiemy dobrze jak te sprawy wyglądały. Wielokrotnie prywatni wydawcy kupowali najwspanialsze dzieła dosłownie za grosze i to na własność, na cały czas ochrony prawa autorskiego. Oto przykład: Gebethner kupił od młodego Karłowicza zbiór jego pierwszych pieśni za... dziesięć egzemplarzy autorskich. Cena egzemplarza wynosiła jeden rubel. Od tego czasu pieśni Karłowicza wydane zostały kilkanaście razy. Autor jednak nie otrzymał ani grosza. Warszawskie Towarzystwo Muzyczne, które odziedziczyło prawa po Karłowiczu wytoczyło nawet przed wojną proces Gebethnerowi o udział w zyskach. Wydawca bronił się, że zapłacił słuszną honorarium... całe dziesięć rubli.

Konieczność ograniczenia nabytych

Wilhelm Szewczyk, „Posagi” Wyd. Inst. Śląskiego, Katowice 1945.

W poezji Szewczyka pokutuje wiele grzechów niezdecydowanej w wyrazie, „nieczystej” estetyki pokolenia, które zaczęło pisać po tzw. „przeżyciu się” Skamandra i awangardy, leniąc z różnych elementów stylotwórczych swoją poetycką wizję, oscylując między sonetem a niewyraźnymi formami niby to „nowoczesnymi”, w gruncie rzeczy demaskującymi na każdym kroku swe pokrewieństwo z przebrzmiałymi dawnymi epokami literackimi.

To co uderza w formie wierszy Szewczyka w zestawieniu z ich bogatą i żywą tematyką — to brak prostoty, tego najtrudniejszego z ornamentów, zdobywającego serca dla poezji spraw wielkich i patetycznych, do których należy przecież przyswajająca twórczość Szewczyka idea „poiskości Śląska”.

Brak ten wynika oczywiście z nieodnalezienia stylu własnego, z daremnych jak dotąd usiłowań ozdobienia wierszy pozabawionych wewnętrznej jedności ornamentyką przypadkowych, różnorodnych efektów, nie pasujących do siebie nawzajem jak np. pełne „krzepy” wyrażenia gwarowe, obok konwencjonalnej metaforyki krajoznawczej awangardy i retoryki typu Łobodowskiego (np. wstępny wiersz „Granica”).

Sprawiedliwość każe przyznać, że daty powstawania wierszy wskazują na walkę autora z wymienionymi wyżej usterekami, a kilka utworów w zbiorze brzmi prawie czysto, są to jednak wyjątki. Jest rzeczą charakterystyczną, że należało do nich przede wszystkim wiersze religijne: utrzymane w formie nieregularnych sonetów „Pasje Strassburskie” i zwłaszcza pełna neklananego wdzięku „Pastorałka Maluczkich”. Wskazuje to wyraźnie na twórczą, kształtującą siłę trzymającej poe- te w karbach jednorodnej kulturalnej i literackiej tradycji, której przełamywanie możliwe jest tylko wtedy, kiedy ma się coś w zastępstwie, kiedy załazek nowego stylu rysuje się jasno i wyraźnie, pozwalając odrzucić wszystkie zle połowiczności.

Rodzajem najczystszych w wierszach Szewczyka jest retoryka, ale retoryka tylko z pozoru wydaje się gatunkiem literackim łatwym. Dobre wiersze retoryczne znajdują się bardzo rzadko i żaden z utworów Szewczyka tego typu, ani „Pozrób Koriantego”, ani „Modlitwa”, ani „General Sikorski”, ani popularne i szeroko przedrukowywane „Pozdrowienie Odrze” nie jest wolne od usterek językowych, niekonsekwencji logicznych i psychologicznych, dowolności i łatwizny.

Epika Szewczyka, reprezentowana przez poemat „Noc”, też z mocnymi retorycznymi akcentami, nie przekonywa nas do rodzaju, który od dawna z powodzeniem zastąpiony został przez prozę. Zmusza ona do trzymania się w opisie pewnych konwencji, których z powodzeniem można by uniknąć, pisząc nowelę. Poemat epicki dzisiaj — to na ogół t.zw. „samograj”: wiersz ponosi piszącego i w końcu jest już zupełnie wszystko jedno, co zawiera; strofa uświęca wszystko. A przecież fakt, że wszystko można napisać wierszem nie jest dostatecznym argumentem do nadużywania tej formy do wszystkiego co się chce opowiedzieć! Szewczyk pisze w liście do przyjaciela, stanowiącym wstęp do poematu: „Jest „Noc” dalszym ciągiem rodziny Hanysów i to ma swój sens”. Właśnie że to nie świadczy jeszcze o żadnym sensie! Ani to, ani usiłujące rozbroić krytyka apostrofy w rodzaju: „nie patrz nań (na poemat — przyp. mój) ze strony twóch wyniosłych przykazań poetyckich, bo tam nie zawsze wszystko jest prawdziwe”. Jednym słowem: „Miej serce i patrzaj w serce”. Jedno z dwojga: albo poeta chce być traktowany poważnie i z całą surowością, jako poeta tout court, albo załania się puklerzem kryteriów społecznych, patriotycznych, regionalno-senty-

mentalnych i wtedy nie dosięgnie go co prawda żadna strzała, ale też i żaden laur nie przyzodobi. To co bliżej Szewczyk w przedmowie do książki i we wzmiankowanym wyżej liście napelnia niepokolem, nie ze względu na mistyczny niemal ton, z jakim mówi się tu o społecznych zadaniach poezji, ale ze względu już chociażby na styl jakim autor swoje uczucia wypowiada: „Poprzez namul psychicznych nawyków i zawałiska dziejowych konfliktów dotrzeć do cichych uroczysk, gdzie ślaskość jest polskością i gdzie wszystko było i jest takie same jak pod Krakowem. Sieradzem i Łonzą — oto społeczny obowiązek mojej poezji. A że poza tym obowiązkiem chłoczce mnie tęsknota za liryką — o tym przekonanie się z przypłynanych wierszom jak wstęgi hojnych i rzewnych głosów.”

Czy naprawdę poezja społeczna dzisiaj może wypowiadać się takim językiem?

\*\*\*

Jerzy Lau, „U płomienia”. Spółdz. księg. „Czytelnik”, Kraków 1945.

Debiut poetycki Laua w przeciwieństwie do poezji Szewczyka brzmi wyjątkowo czysto, harmonijnie: młody poeta od razu „wszedł w styl”. Jaki to styl — to już inna sprawa, faktem jest, że debiut jest klarowny, a tomik, małej rozmiarów stanowi skomponowaną całość.

Lau jest — trudno, czytałem swego czasu recenzję Wyki i nie może nie powtórzyć za nim — na przestrzeni swych dwunastu krótkich wierszy doskonała mieszanina Czechowicza i Przybosia: ze wszystkich kopistów autora „Miejsca na Ziemi” jest najsuubtelniejszym, nie ma śladu nieudolności krakowskich Włodków, Jeczalików, Machejków, ma piękne metafory (w stylu Przybosia) i piękne aliteracje (w stylu Czechowicza). Z całą pewnością wiersze takie, jak „Rzeczpospolita Leśna”, „29 rostrzelanych w Modrzejówce”, „Cieniem za drzewem stoi” mogły by znaleźć się w „Miejscu na Ziemi”, i tak jak płótta uczniów szkół malarskich obok płócien mistrzów, wprowadzać w błąd znawców i budzić między nimi dyskusje co do swego pochodzenia. Niestety właśnie na tym niewątpliwie zdolnym młodym poecie wykazać można i należy, jak bardzo gatunek poezji, na której wyrósł, jest hermetyczny, zamknięty i nie dający przedłużyć. Nie wyobrażamy sobie, aby wiersz utrzymany w ramach poetyki tradycyjnej, napisany z równym kunsztem technicznym i smakiem (bo wiersze Laua są miniaturą pięknościami awangardy) nie wzbudził zachwytu dużo większego i nie mógł być uważany za wskaźnik dużo większych możliwości, niż naśladownictwo stylu, który naśladowany być nie może, a naśladowany zawsze jest maniera. Trzeba się z tym pogodzić, że są style, których kontynuować nie można. Można było czepać z Baudelaire’a i Rimbauda, ale nie sposób kontynuować już Valery’ego. Chyba że się gdzieś wyraźnie skreśli. Tego od Laua należy oczekiwać w następnych jego wierszach.

\*\*\*

Włodzimierz Słobodnik, „Dom w Ferganie”, Spółdz. Wydawnicza „Książka”, Warszawa 1946 r.

„Dom w Ferganie” stanowi jedynie szczypliwy wybór poezji płodnego autora, jakim jest Słobodnik, z czteroletniego okresu jego pobytu w Rosji. Zbiorek składa się z około dwudziestu utworów, ale tych wystarczy aby ocenić w pełni prostotę i czar tych bezprezensionalnych, „kataryniarskich” — jakby powiedział Przybóś — wierszy. Nie wskazują one nowych sposobów poetyckiego widzenia rzeczywistości — to prawda. Są bardzo konwencjonalne, bardzo nassełstyczne i pogrążone bez reszty w tradycje poetyckie epok da-

przedstawiceli ministerstw wejść mają reprezentanci wydawców, pisarzy i miejmy nadzieję instytucji społecznych.

Do czasu ogłoszenia zapowiadzanego dekretu trudno jest omawiać szczegółowo wszystkie jego postanowienia. Niewątpliwą zaletą dekretu jest stworzenie po raz pierwszy realnych możliwości planowania w dziedzinie polityki wydawniczej. Jest to jedyna droga odbudowy polskich bibliotek.

Rzecz inna, jak to będzie wyglądało w praktyce. Dotychczasowe bowiem próby Ministerstwa Kultury i Sztuki organizowania życia kulturalnego i artystycznego nie zawsze wypadły szczęśliwie. W każdym razie jest sprawą niezmiernie wagi, aby powstał wreszcie plan wydawniczy na okres pafoletni, który by objął, choćby we formie zaleceń dla wydawców, nie tylko utwory dwunastu wymienionych pisarzy ale również najważniejsze dzieła klasyków polskiej i światowej literatury. Odbudowa polskich bibliotek nie jest sprawą prywatną, musi zostać publicznie i szeroko przedyskutowana. Od książek jakie wydamy, w znacznej mierze zależeć będzie życie duchowe nowego pokolenia. Jest o czym dyskutować.

# Nowe wydawnictwa poetyckie

wno zamkniętych, ale zawierała intrygujący sekret korzystania z nich tak, że mimo ograniczenia i osłuchania, a może właśnie w oparciu o nie, wiersze te dają poczucie obcowania z rzeczą, która będąc stara jak świat, ma w sobie źródła wiecznej młodości. Jak się to osiąga?

Niewątpliwie jest sprawa słuchu i kultury poetyckiej Słobodnika odrzucanie tych elementów konopniczyzny, których nie da się dziś już spokojnie słuchać, a pozostawienie tych, które przypominają stare „kwiaty poezji polskiej” — przypominają je z najlepszej, żywym jeszcze pięknem przemawiającej strony. Jest rzeczą kultury i słuchu, czepiać się Mickiewicza nie tego, co mając wyrażoną cechę epoki, odsuwałoby wiersz, dając w podobny sposób napisany, w dziedzinie mniej lub więcej udatnych stylizacji, lecz tego, co tych cech nie ma, co jest tak proste, że stało się klasyczne i może być powtarzane. Czułe opanowanie polszczyzny, dobra, rzetelna znajomość języka jest przyjaciółką tej poezji, pozwalając ją stawiać za przykład licznym młodzieńczym burzycielom dawnych stylów, nieumiejącym zbudować porządnego zdania, nieczującym barwy ani dźwięku słowa. Nawzajem Słobodnika poeta szkolnym co nie jest deprecjacja, lecz określeniem gatunku, który jest prosty, łatwy, za łatwy może i za mało skomplikowany dla odbiorcy pobudliwego intelektualnie, ale doskonale kształcający smak poetycki ludzi mniej wyrobionych, dający im skromną, uczciwą robotę poetycką, po kazuja, co to jest uczynić rzecz zwykłą — uczucia, obrazy — przedmiotem poezji.

Treść wierszy Słobodnika jest tęsknotą do kraju, odczuwana w dalekiej, ubelkiej Ferganie, dokąd poeta rzucił los lat wolenych. Egzotyka wschodniego krajoznawstwa, nie nowa, bo dziwnie w ulecu poety przypomina mickiewiczowska, choć ta — innych, bliższych dotyczyła stron w Sonetach Krymskich, nadaje jednak specjalny klimat wierszom takim jak „Obłok i źródło”, „Kadyr”, „Dom w Ferganie”. Inne, choć z daleka, mówią tylko o kraju rodzinnym, i te jeszcze bardziej wsiakają w dawność i jednocześnie stają się wyrazem żywej, osobistej prawdy („Sosna”, „Krajoznawstwo”, „Jest w Polsce”, „Pełnym Głosem”). Wreszcie wiersze typowo czytankowe: „Śmierć Leśna”, „Powrót” — wprowadzają do tomiku programową nutę zamówienia społecznego, wyraźnie już na potrzeby maluczkich. Jest rzeczą pełną wdzięku, że Słobodnik, naitypowszy liryk, zamówieniu temu odpowiada w tonacji czystej i pełnej osobistego lirycznego zaangażowania.

ksyżard Matuszewski

NAGRODA LITERACKA M. ŁODZI

MIECZYŚLAW JASTRUN  
RZECZ LUDZKA

Poezje

Zi 65.—

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KIEGARNIACH  
SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA „KSIAZKA”



## PIERWSZE PO WOJNIE PRZEDSTAWIENIE SZEKSPIRA



Andrzej Chudogeba — T. Kondrat  
Tobiasz Czkawka — A. Berdini

Olwia — L. Castori  
Wiola — T. Suchacka

Teatr im. Sł. Wyspiańskiego w Katowicach wystawił „Wieczór Trzech Króli” Szekspira w reżyserji Bronisława Dąbrowskiego. — Dekoracje i kostiumy projektował prof. Stanisław Jarocki.

## Z TEATRU

## „Freuda teoria snów” w Teatrze na Pięterku

Rozgłos pewnych koncepcji naukowych w latach międzywojennych zrodził koncepcje komediowe Cwojdzńskiego, o teorii Einsteina, o teorii Freuda, o teorii Kretschmera. Urok ich potrosze polegał na tym, że nie wiadomo było, czy to popularyzacja czy moda, nauka czy żart. W pierwszym wypadku szło rzeczywiście o teorię naukową, w dwóch pozostałych o coś bardzo wątpliwego. „Freuda teoria snów” najbardziej udała się pod względem teatralnym. Kiedy oglądałem ją przed wojną, wydawało mi się, że autor zakpił sobie z mody na psychoanalizę, z laików, którzy się do niej zapalają. Po latach okazuje się, że autor chce nie chce zakpił sobie z psychoanalizy. Wtedy wśród publiczności, oglądającej tę komedię, jedni wierzyli w mądrość psychoanalizy, inni nie dowierzali. Dzisiaj jedni wierzą jeszcze siłą bezwładności, ale już bez zapалу, a inni nie traktują tego klucza do duszy ludzkiej poważniej, niż zaklęcia alchemicznego. Dlatego chyba komedia Cwojdzńskiego prosi się o bardziej satyryczną, bardziej groteskową interpretację. W maleńkim sympatycznym teatryku, w którym świętna para artystów Janina Romanówna i Jan Kreczmar rozgrywali swój duet przed zaproszonymi gośćmi, człowiekiem, który najpoważniej odnosił się do psychoanalizy był sam Jan Kreczmar. Był rozumny, miły, inteligentny mężczyzna, który nie wie, że kocha się w swojej partnerce. Staral się nie być śmieszny. Domyślałem się, że o takim postawieniu roli decydowały względy spotykane często w świecie teatralnym — chęć pokierowania rolą inaczej, niż to zrobił poprzednik. Przed wojną znakomicie i groteskowo grał tę rolę Maszyński. Gdyby Jan Kreczmar spotęgował tę groteskowość, byłby w zgodzie z komedią, z jej dzisiejszym wydzwiekiem i kto wie, czy sztuka nie bawiłaby nas jeszcze bardziej, niż przed wojną. Zdaje się, że Janina Romanówna nie nie zmieniła w swojej dawnej roli. Była to ta sama trafna interpretacja komedii, która jest po prostu rozwijającym się romansem dwojga ludzi. Na drodze tego romanisu stają pewne przeszkody moralne, jako że „ona” ma narzeczonego, poczciwego pomocnika chłopca, który zarazem jest „jego” serdecznym przyjacielem. Zazwyczaj okoliczności zewnętrzne odpowiednio zgrupowane w komedii przyspieszają dojrzewanie uczuć, tu natomiast zjawiają się rozmaite szczeble wtajemniczenia psychoanalitycznego. W tej bardzo zreżymie skonstruowanej komedii na dwie osoby — psychoanaliza zastępuje flirt. W czasach swojego rozkwitu flirt komediowy był systemem delikatnie cieniowanych aluzji erotycznych, niewątpliwie w lepszym smaku, niż psychoanaliza, która pozwala dorosłym ludziom zabawiać się w sztubaków i podkładać bardzo nieprzystojne rzeczy pod najniewinniejsze pojęcia. Tak zwana patologia życia codziennego zastępuje minoderię i „marivaudage”, atrybuty niezbędne w romanse rozwijającym się powoli i bez wyraźnych bodźców zewnętrznych. A że osoby romanisu zdają sobie sprawę ze swoich uczuć znacznie później, niż widownia, jest to chyba rzeczą zupełnie naturalną w teatrze. Aspiracje psychoanalizy zostały gruntownie ośmieszone dlatego, że posłużyła ona za język porozumiewawczy do normalnego skojarzenia dwojga normalnych ludzi. Przez sięganie prawą ręką do lewego

ucha bohaterzy komedii wyjaśniają sobie fakty, które dla obserwatora nie wymagają wyjaśnienia. Skoro młoda kobieta, zamiast iść na decydującą schadzki z narzeczoną, zagadła się z innym mężczyzną, to widocznie woli na tę schadzki nie iść i kwita. Skoro młody mężczyzna kładzie palce na telefonie, aby przerwać rozmowę kobiety z jej narzeczoną, to widocznie zależy mu na tym, aby się ci dwoje nie porozumieli. Ot i wszystko.

Zygmunt Felczak: „Droga wielkiej odnowy”.

Książeczka p. Felczaka jest napisana z dociekliwą pasją, z troską o byt narodowy, z udzielającą się czytelnikowi wiara w to, co głosi i zaleca.

Autor, być może, nie mówi nic nowego, gdy tropi przyczyny klęsk, gdy obnaża przyczyny „polskiego charakteru narodowego”, gdy odmawia wartości naszemu tradycyjnemu dziedzictwu — niemniej gniew i pragnienie naprawy dyktują mu dosadne formuły, twierdzenia zwięzłe, rzeczowe i gorzkie. Z drugiej strony, wytyczając „drogę odnowy”, strasza się p. Felczak nie opuszczać gruntu faktów, nie wykraczać poza materialistyczne kategorie myślenia. To drugie nie zawsze mu się udaje. Przyjrzyjmy się jednak jego stanowisku, obejdźmy je dokoła.

Zródło nieszczęść Polski — jej niedorozwoju gospodarczego, skostnienia społecznego, niemocy politycznej — upatruje p. Felczak w postawie duchowej sfer szlachecko-feudalnych i szlachecko-mieszczańskich, która wśląd za W. Grabskim nazywa indywidualizmem vegetacyjnym. Uważany za „jedyny obowiązujący żywioł wzór polskości”, indywidualizm vegetacyjny, wywodzący się z feudalnego średniowiecza, spowodował sklerozę państwowości polskiej, marazm epoki saskiej, uwiad sili społecznych, rozkład państwa i nieublaganie potem następujące rozbiory; przetrwał okres niewoli, aby wyłonić się po roku 1918 w Drugiej Rzeczypospolitej, jako dominanta kultury narodowej. „Każdy niemal Polak, powiada p. Felczak, jest w poważnej mierze uformowany, jeśli chodzi o tego upodobania i dążenia życiowe, przez ideały właściwe indywidualizmowi”. Sprzecyżujemy: każdy Polak z warstwy szlachecko-mieszczańskiej — bo przecież chłop i robotnik nie mogli sobie na ten zbytek pozwolić. Jeśli ich w tel czy innej mierze dosięgał indywidualizm vegetacyjny, to poprzez „swe fatalne skutki gospodarczo-społeczne. Zgódźmy się na razie, że indywidualizm vegetacyjny, atrybut panującej szlachty i jej doczepki mieszczańsko-kapitalistycznej, kształtował na przestrzeni wieków i aż do r. 1939 oblicze społeczno-państwowe i kulturalne Polski.

Wytworem owego indywidualizmu jest trwający po dziś dzień „niż cywilizacyjny”, objawiający się w ogólnym niedomaganiu naszego gospodarstwa, w niedowładzie technicznym, w chorobie woli produkcyjnej, w braku sprawności społeczno-organizacyjnej, w niższym aniżeli gdzieindziej poziomie życia najszerzych mas, w nędzy miast i wsi, w jałowości życia duchowego. Niż cywilizacyjny jest przyczyną szeregu klęsk bijących w nas już od XVII wieku, a któreżo ostatnią oznaką był wreszcie 1939 r. Niż cywilizacyjny,

## Żądło Genowefy\*)

„Z kart książki dowiadujemy się po raz pierwszy o losach i życiu naszych żołnierzy poza Krajem. Również dlatego jest ona dla nas ciekawa i interesująca”. Tak twierdzi Wydawnictwo AWIR.

Na pierwszy rzut oka słowo „również” wydaje się być omyłką zecercką. Sądzę, że dla wielu czytelników powinno być zastąpione wyrazem „przede wszystkim”. Okazuje się jednak, że, świadomie czy nieświadomie, zostało użyte właściwe wyrażenie. Istotnie, książka ta przynosi „również” nieco informacji o żołnierzach polskich na obczyźnie.

Dwa początkowe rozdziały zawierają wspomnienia z czasów bojęw wrześnieowych. Potem następują obrazki z Rumunii, gdzie autor przebywał wraz z internowanymi wojskami polskimi. Cały ten długi, bo nad połowę książki wstęp, jest czymś w rodzaju anegdotycznego pamiętnika, przy czym humor rozjaśnia barwę opisywanych przeżyć i czasów. Trudno bowiem uwierzyć, by np. obozy, w których internowano żołnierzy polskich w Rumunii były przede wszystkim miejscem przeróżnych „kawałów”, płatanych miejscowym władzom. Również i podróż do Francji odbija się w dzienniku jednego z bohaterów książki jak wesoła eskapada z wycieczką Coocka. W okresie „francuskim” naszej armii dowiadujemy się, że Polacy chcieli walczyć a Francuzi im nie dowierzali. Potem dał jakieś graty, na których loty były co najmniej ryzykowne. Poza tym Francuzi byli niechętnymi kolegami a nasi lotnicy walczyli z właściwą sobie brawurą i znajomością fachu, co się, niestety, nie na wiele w ogólnej sytuacji przydało.

Po ostatnich przenosinach na „Wyspę Ostatniej Nadziei” kończy się wreszcie tułaczka a zaczyna normalna praca wojenna lotnika. Autor, sam lotnik, tylko o lotnikach opowiada. Słusznie, że mówi o tym, co zna najlepiej. Szkoda tylko, że z tego opowiadania więcej dowiadujemy się o samej pracy, niż o ludziach, którzy ją wykonywali.

Boheterami książki jest załoga Genowefy i inni lotnicy polscy, walczący u boku RAF. Są to doskonale wyszkoleni, często heroiczni, zaciekli żołnierze. Ale tylko żołnierze. Nie ma-

ją żadnych zainteresowań poza samolotem, kolegą, wrogiem. O innych sprawach autor przynajmniej nie wspomina. Samolot, kolega, wróg. W kręgu tych trzech zagadnień płynie życie bohaterów Meissnera. Raz tylko ukazują się na kartach tej książki zagadnienia ogólniejszej natury. Oto fragmenty wypowiedzi pewnego oficera, który podczas rekonwalescencji w szpitalu miał czas na rozmyślanie: „...mamy jedną ambicję: chcemy pozostać w polskim lotnictwie i uczynić je potęgą... chcemy pilnować tych granic, nie mieszając się do innych spraw, nie żądając laurów, odznaczeń, nagród”.

Nie chodzi zresztą o jakąś szerszą problematykę społeczną. Mogła ona nie istnieć w otoczeniu autora. Natomiast nie mogło chyba nie być specyficznego klimatu psychicznego, zrodzonego z faktu przebywania na obczyźnie, zdaleka od kraju. A tego w książce Meissnera nie czuć. I gdyby nie częste wzmianki podkreślające, że autor mówi o Polakach, można by zmienić imiona i nazwy bez większego trudu przerobić „Żądło Genowefy” na opowieść o Francuzach, Anglikach czy Amerykanach. Do tego stopnia bohaterowie książki żyją w atmosferze czysto zawodowej, międzynarodowej. Jedyny kłopot byłby ze zdaniem, które wypowiada wspomniany oficer, „Będziemy się bić przeciw każdemu, kto palec na Polskę podniesie. Jeśli będzie potrzeba to i przeciw całemu światu, nie tylko przeciw Niemcom”. Trudno byłoby włożyć te słowa w usta nie-Polaka.

Brak głębszego nurtu ogranicza wartość książki Meissnera do dobrej literatury rozrywkowej. Jest to typowa powieść przygód, napisana z niewątpliwą umiejętnością operowania słowem. Znajdzie na pewno wielu czytelników. Szczególnie wśród miłośników lotnictwa. Bo dużo i interesująco mówi autor o lotnictwie. O polskich żołnierzach na obczyźnie — mniej. Dlatego właśnie to cytowane na wstępie „również” jest dobrze użytym słowem.

Edward Szuster

\*) Janusz Meissner: Żądło Genowefy, opowieść lotnicza. Wyd. AWIR, Katowice 1946.

## Manowce romantyzmu społecznego

dziedzictwo pokoleń żyjących w biernym indywidualizmie, zenchnał nas na szary koniec Europy. Niż cywilizacyjny godzi w istnienie narodu, w jego substancje biologiczną, teza która p. Felczak wymownie ilustruje danymi liczbowymi z wielkiej księgi ubogich — Małego Rocznika Statystycznego. Podejmowane w latach międzywojennych, dorywcze i fragmentaryczne próby pokonania niżu cywilizacyjnego musiały spaść na panewce, były bowiem wymierzone w objawy choroby, a nie w jej przyczynę, ów indywidualizm vegetacyjny, uważany za dobry i nietykany, jako że symbolizował polską tradycję, przepajał treść kultury narodowej.

Historycznym zadaniem naszego pokolenia jest radykalne przezwyciężenie niżu cywilizacyjnego. W tym celu należy sięgnąć do jego źródła, do indywidualizmu vegetacyjnego, wypłenić jego normy i ideały z życia społecznego, wyrugować je z polskiego charakteru narodowego co jedynie umożliwi podjęcie wielkiego dzieła: cywilizacyjnego uzbrojenia Polski.

Jest to kluczowy postulat książki. Chodzi o stworzenie nowoczesnej bazy techniczno-produkcyjnej, która by mogła zaspokoić wszystkie potrzeby narodu: rozwojowe, wytwórcze, konsumpcyjne i obronne. Zawiera ten postulat i rozbudowę podstawowych urządzeń gospodarczych, i uprzemysłowienie kraju, i intensyfikację, i asymilację Ziemi Zachodnich, i marnizację Polski. Dźwięnia tego dzieła ma być gospodarka planowa, jego wykonawcą nowy typ duchowy Polaka, wolny od nacłóg indywidualizmu vegetacyjnego, zdoławczy i twórczy, ożywiony dynamicznym ideałem szczęścia, to znaczy — szczęścia pracy, wysiłku, nateżenia wszystkich władz osobowości.

Oto tezy p. Felczaka: zerwanie z naturalistycznym pojmowaniem procesów gospodarczych, historia jako dzieło trak ludzkich, antyrewolucyjizm i antyreformizm, gospodarka planowa, metoda akumulacji kapitału społecznego. Jednakże napróżno byśmy szukali w jego książce słowa „socializm”. Przystaniemy się dziwić, jeśli zważymy, że autor przedstawił Stronictwa Pracy starannie omija kryterium klasowe. Helektro w wywodach jego zdarza mu się zetknąć z empiryczną rzeczywistością klasową, wywija się i szuka schronienia w idealistycznych ogólnikach, takich jak „Naród”, „polski charakter narodowy”, „zryw zawodowy”, „szerokie masy pracujące”. Nie wytykalibyśmy mu tego, gdyby nie objawiał ambicji posługiwania się językiem rzeczowym i konkretnym, językiem pojęć jednoznacznych. Mówiąc „Naród” p. Felczak zamyka oczy na jego składniki klasowe. Pol-

ski charakter narodowy w jego ujęciu jest czymś stałym i jednorodnym, co rozciąga się jednak na wszystkie warstwy. — a przecież charakter narodowy jest inny w warstwie robotniczej inny w masie chłopskiej, inny w inteligencji mieszczańskiej. Chcieć te trzy odmiary charakteru narodowego sprowadzić do wspólnego mianownika szlachecko-mieszczańskiego indywidualizmu vegetacyjnego, to przesada, która p. Felczak zreszta stosuje świadomie, mówiąc: „Masy narodu polskiego przepojone są zasadami indywidualizmu vegetacyjnego... Rozbrojenie duchowe obejmuje bowiem wszystkie warstwy: chłopów, robotników, inteligencję pracującą”.

W tym twierdzeniu kryje się wyniosłe lekceważenie polskiego ruchu robotniczego, mającego za sobą półwiekową tradycję uzbrojenia duchowego. Można i należy się zgodzić z p. Felczakiem, gdy mówi że polski charakter narodowy we wszystkich swych odmianach musi ulec przebudowie, ale p. Felczak nie chce widzieć, że nowy typ duchowy Polaka, który według niego ma się dopiero narodzić, już się wykułwa we wsi przetrwanej reformą rolą, w spółdzielni chłopskiej, upaństwowionej fabryce, rządzonej przez radę zakładową. P. Felczak nie dopuszcza myśli, że „plomienny entuzjazm”, „wiara w wielką idee”, która ma rozpętać „rewolucyjny zryw”, tkwi w samowiedzy klasowej proletariatu, w świadomości tego, że robotnik i chłop stanowią dziś warstwy historyczna powołana do budowania i reprezentowania demokracji polskiej.

Zamazywanie treści klasowej dokonujących się przemian sprawia, że z wywodów p. Felczaka trudno wywnioskować: czy cywilizacyjne uzbrojenie Polski będzie wynikiem rewolucji charakteru narodowego, to znaczy dziełem nowego typu duchowego Polaka, czy też odwrotnie: nowy typ duchowy Polaka będzie produktem cywilizacyjnego uzbrojenia Polski. „Rewolucyjny zryw” gospodarczy mający mu się w przyszłości jako wyraźnie ograniczony w czasie wybuch energii narodowej. Podobnie, rewolucje polska rzutuje p. Felczak na mniej lub więcej oddaloną przyszłość, nie widząc, że rewolucja ta jest już w toku, że mamy już za sobą jej fazę wstępną: reformę rolą i nacjonalizację przemysłu. P. Felczak jest typowym przedstawicielem dość rozpowszechnionego dzisiaj gatunku publicystów i działaczy, którzy na „drogę wielkiej odnowy” chcą koniecznym wyznaczyć socjalizm i dlatego choć rozpoczynają marsz w zapożyczonych od socjalizmu zbroi kategorii ekonomicznych, zbaczają na manowce idealizmu, rozplywają się w mgławicy romantyzmu społecznego.

Stanisław Brucz

# N O T Y

## W OBRONIE NIE WYDAWANIA KSIĄŻEK

Dotychczas w prasie atakowano wydawców za nie wydawanie ważnych i potrzebnych książek. „Gazeta Ludowa” zerwała z tym pięknym zwyczajem i zaatakowała Sp. Wyd. „Książka” za ogłoszenie subskrypcji na dzieła Prusa i Reymonta. „Zdawałoby się — pisze p. St. Dz. w Nr. 110 „Gazety Ludowej” — że uruchomienie poważnej ilościowo i jakościowo biblioteki najpoczytniejszych pisarzy zapowiada się na długi okres przygotowawczy. Stało się jednak inaczej. Rzeczywiście, zdawało się, że ani Prus ani Orzeszkowa, ani Reymont przez długi okres czasu nie będą wydawani, że po prostu Gebethner ani sam nie wyda, ani innemu nie pozwoli drukować. Zdawało się, że jeszcze długo „Lalkę” Prusa będzie można nabywać wyłącznie w antykwariatach za drobną sumę 1.200 złotych. Stało się jednak zupełnie inaczej. Stała się rzecz potworna. „Książka” ogłosiła subskrypcję „Lalki” w cenie złotych 250. Nie można pozwolić — pisze „Gazeta Ludowa”, aby „długi okres przygotowawczy” skurczył się do paru tygodni, aby Prus Orzeszkowa i Reymont tak spadli w cenę.

Brońmy zasady świętego zastolu.

rdc

## JAK ZA NIEDAWNYCH DOBRZYCH LAT

We Włoszech, w Reggio Emilia miało miejsce zajście, które spowodowało ofiary w ludziach i silne wzburzenie wśród społeczeństwa. W koszarach artylerii w centrum miasta władze alianckie urządziły obóz, w którym znajdują się liczni Ukraińcy i Polacy. Przed kilkoma dniami władze alianckie skierowały do tych koszar około tysiąca Żydów polskich, ukraińskich, węgierskich i rumuńskich, pochodzących z niemieckich obozów koncentracyjnych.

Z okazji 1-go maja Żydzi wyrazili życzenie wzięcia udziału w obchodach i zorganizowali na terenie obozu akademii. Faszyści ukraińscy, polscy, rosyjscy i jugosłowiańscy rzucili się z nożami na uczestników akademii, wznosząc okrzyki: „Niech żyje Mussolini, Niech żyje Hitler”. Pięciu spośród uczestników akademii ciężko raniono, jeden z nich nazwiskiem Kaplan zmarł. Kaplan był przez trzy lata w rosyjskich formacjach partyzanckich.

Jak długo jeszcze polskie obozy i formacje w krajach okupowanych przez aliantów będą rezerwatami niedobitków faszyzmu europejskiego?

## TELEWIZJA

Dnia 2 maja „Gazeta Ludowa” jak wszystkie zresztą dzienniki polskie czelowy artykuł poświęcił obchodom pierwszomajowym. Dowiadujemy się więc, że „odspiewanie Międzynarodówki wypadło blado”, że „pochód szedł w dość licznych(?) odstępach, rozwiłki i ospale”, że „podczas przemarszu kolporterki sprzedawały najspokojniej „Gazetę Ludową”, a co jakiś czas wychodził ktoś z szeregów i klęcił się, że taka droga”. (Oj, bo droga! Nie na chłopską kieszeń!), że „pochód był barwny; chorągwie i sztandary przeważnie nowe, ale uczestnicy na ogół bez radości i fantazji”.

Nie widzę co prawda związku między nowością chorągwi a brakiem fantazji uczestników pochodu, natomiast okazuje się, że w bogatą fantazję wyposażony jest sprawozdawca „Gazety Ludowej”. Oto czytamy: „W Alejach Jerozolimskich... ustawiono trybuny dla dygnitarzy, wśród których widzieliśmy... m. in. pp. Gomółkę, Janusza, Cyrankiewicza, Bermana, Torwińskiego, Klizkę...”. Jak wiadomo, ob. Gomółka bawił 1.5 w Katowicach, a ob. Klizko wygłaszał właśnie o tej porze przemówienie w Bydgoszczy i żaden mieszkaniec Warszawy nie mógł ich widzieć tego dnia w stolicy. Ale „Gazeta Ludowa” ze swoimi starymi metodami krytykowania „nowych sztandarów” widzi wstytko... Bo w Londynie jest już czynna stacja telewizyjna!

## 75% W LITERATURZE

„Gazeta Ludowa” z dnia 6 maja 1946 nr 124 „Dzisiejszy numer naszego dodatku literacko-artystycznego „Kultury”, redagowanego przez Jana Szczawieja, jest piętnastym z kolei. Pierwszy numer „Kultury” ukazał się w dniu 2 stycznia b. r.

W dotychczasowych numerach „Kultury” drukowali swoje prace i utwory następujący pisarze: Maria Dąbrowska, Jan Bolesław Ożóg, Jerzy Świrski, Aleksander Rymkiewicz, Roman Sadowski, Józef Nikodem Kłosowski, Jerzy Rychlewski, Gabriel Karski, Antoni Madej, Janina Brzostowska, Kazimierz Andrzej Jaworski, Jarosław Janowski, Janina Wójcicka, Jerzy Mieczysław Rytard, T. B. Syga, Nina Rydzewska, Wiktor Bazylewski, Maria Suszyńska, Lesław Bartelski, Czesław Jęstrzębiec - Kozłowski, Irena Woydygowska, Wacław Mrozowski, Franciszek Mleczko i Bolesław Gawin.

Policzmy dokładnie: ona jedna i ich dwadzieścia troje.

## CUI BONO?

Na marginesie pierwszego numeru miesięcznika „Państwo i Prawo”, który pojawił się jako organ Zrzeszenia Prawników Demokratów w Polsce, snuje ks. Piwowarczyk w „Tygodniku Powszechnym” z 21.4 br. swoje uwagi na temat sprawiedliwości i prawa. Ks. Piwowarczyk domaga się tam też od prawników „nowej rzeczywistości” (czudysłowy są widocznie dla ks. Piwowarczyka sposobem wyrażania

nia melancolijnej ironii) jasnego sformułowania pojęć takich jak „faszyzm” i „reakcja” a z drugiej strony takich jak „postęp” i „demokracja”. Dziwi naprawdę ta potrzeba u ks. Piwowarczyka, który wykazuje niewątpliwie wielką erudycję i znajomość rzeczy, tak samo jak dziwi rolę advocatus diaboli, jaką przybiera bromionac Marksa przed zestawianiem go z St. Simonem, choć marksizm chlub się tym, że zespolił w sobie właśnie trzy nurty — niemiecką filozofię, angielską klasyczną ekonomię i francuski socjalizm tegoż St. Simona i Fouriera.

Ulubiony przez ks. Piwowarczyka jako kontrahent Marks, w ten sposób sformułował prawo, występując przez sądem przysięgłych w Kolonii: „Ustawa powinna opierać się na społeczeństwie, powinna ona być wyrazem ogólnych, wynikających z danego materialnego sposobu wytwarzania potrzeb i interesów. Ten oto code penale, który trzymam w ręce... skoro tylko przestanie odpowiadać społecznym stosunkom, zamieni się w zwyczajny plik papierów”.

Każdej ekonomicznej epoce społeczeństwa klasowego odpowiada swoisty system prawny.

Nasz nowy model gospodarki kraju bez wielkich obszarów, bez karteli i bez trustów wymaga prawnego zabezpieczenia demokratycznych zdobyczy. Prawo ludowej demokracji jest orężem obronnym zdobytych przez lud pozycyji, jest narzędziem zabezpieczającym drogi demokratycznego rozwoju Polski.

Sprawiedliwość w nowej naszej rzeczywistości jest to, co służy dobru olbrzymiej większości narodu, a więc jego mas pracujących, robotników, chłopów i inteligentów.

Jeśli prawo jest odczuwane jako obowiązek moralny i jego niewykonanie jest odczuwane jako wina — to wytłumaczenia poszukamy w wychowaniu środowiska, pojęcia bowiem i myśl ludzka, kształtują się też nie w oderwaniu od rzeczywistości, lecz w niej samej.

Nasza wiedza o strukturze gospodarczej ZSRR jest niewątpliwie dużo mniejsza od tego co wiemy o innych dziedzinach życia tego kraju. Dlatego wszystkie nasze poglądy ustalane na podstawie tak niekompletnej wiedzy nie dają nam możliwości obiektywnej oceny naszego wschodniego sąsiada. Prasa nasza informowała nas dość szczegółowo o rozmaitych fragmentach życia radzieckiego, obszerne zapoznaliśmy się z życiem umysłowym i literackim ZSRR, zasadnicze jednak motory państwa socjalistycznego: jego gospodarka, jego ekonomika, były jak dotąd mało znane zarówno zwolennikom jak i przeciwnikom systemu radzieckiego.

Ten niewątpliwie brak wypełnia w pewnej mierze artykuł St. A. Majewskiego (w Nr 18 „Odrodzenia”), „Polityka gospodarcza ZSRR”. Majewski uzasadnia niezbędną zapoznanie się z historią rozwoju gospodarczego ZSRR dwójako: wynikiem drugiej wojny światowej z której państwo socjalistyczne wyszło zwycięsko narażając się na nieproporcjonalnie mniejsze perturbacje gospodarcze niż jego zachodni sojusznicy, oraz tym, że „Spojrzenie bez uprzedzeń na rozwój gospodarczy ZSRR i jego krytyczna ale rzeczowa ocena — ma u nas szczególnie ważne znaczenie. Polityka bowiem naszych rządów przedwojennych wobec ZSRR była w dużym stopniu dyktowana przez swoisty uraz historyczny, pod którego wpływem społeczeństwo otrzymywało wiadomości o naszym wschodnim sąsiedzie celowo zniekształcone”.

Autor w artykule swoim posługuje się materiałem statystycznym i faktycznym zaczerpniętym z pracy Louis Pommery, ekonomisty francuskiego, stojącego na gruncie liberalizmu ekonomicznego, uzupełniając ten materiał danymi z „Małego Rocznika Statystycznego” 1939. Posługiwanie się tymi źródłami, dalekimi od wszelkiej tendencyjnej propagandy świadczy o intencjach autora artykułu. Istotnie Majewski sine ira et studio rozwija przed nami niezmiernie interesującą historię ekonomicznego rozwoju państwa radzieckiego poczynając od epoki wojennego komunizmu, po przez okres nepu („mowa ekonomiczna polityka”) aż po dwa kolejne plany pięcioletnie włącznie. Każdy z tych okresów jest szczegółowo omówiony. Majewski w poszczególnych niewielkich rozdziałach wyjaśnia polskiemu czytelnikowi zasadniczą treść tych przemian, wskazując ich motywy i cele. Interesująco zwłaszcza przedstawia Majewski okres nepu, tłumacząc podwójny sens przedstawienia polityki gospodarczej po okresie wojennym na tory półkapitałistyczne, nie przemilczając równocześnie tych wszystkich trudności i zahamowań jakie nepe stworzył. Wreszcie zajmując się Majewski szerokim omówieniem sukcesów pierwszego planu pięcioletniego, który mógł zostać zrealizowany właśnie dzięki uprzedniemu wprowadzeniu nepu, oraz rezultatami drugiego planu pięcioletniego, który dotyczył już zmian w ramach metod samej produkcji, Majewski wymienia trzy postulaty tego planu odnośnie metod produkcji: racjonalizacja, ko-

merjalizacja i humanizacja. Jednocześnie przytacza Majewski dane statystyczne dotyczące wyników produkcji radzieckiej w obu okresach pięcioletnich w stosunku do danych z roku 1913.

Podkreślając znaczenie realizacji obu planów pięcioletnich, które zmieniły ZSRR z kraju rolniczego na przemysłowy, autor stwierdza, że wykonanie tych planów pozwoliło jednocześnie na przebudowę społeczną. Świadectwem tej przebudowy jest moralna postawa społeczeństwa radzieckiego w czasie drugiej wojny światowej.

Wreszcie w zakończeniu artykułu wspomina Majewski o nietrafności zdań tych którzy krytykują ustrój radziecki, nie zapoznawszy się z istotą jego rozwoju gospodarczego - społecznego. Jako przykład podaje autor artykułu pracę Andre Gide'a o ZSRR. Gide nie brał pod uwagę elementów gospodarczych, mierzył stosunki radzieckie miarą francuską, miarą kraju, który przestał się rozwijać zarówno pod względem ludnościowym jak i gospodarczym. Natomiast jako zgodny z wymaganiami obiektywizmu przytacza Majewski sąd Bernarda Shaw, który przeciwnie niż Gide bierze pod uwagę przede wszystkim warunki ekonomiczne, uzależniając całkowitą realizację ideałów socjalistycznych w ZSRR od stanu produkcji.

Artykuł Majewskiego omówiliśmy tak szczegółowo po to, by zwrócić uwagę czytelników na jego istotną wartość i na zakres zawartych w nim informacji, bez których nasza wiedza o ZSRR będzie, powtarzamy to raz jeszcze, bardzo powierzchowna i niekompletna.

Na łamach „Wsi” obserwujemy od dłuższego czasu separowanie się od wszystkiego co traci monopolizowaniem kultury przez wieś. Natomiast w „Tygodniku Warszawskim” w nr. 18 znajdujemy ogromny artykuł wstępny pióra Józefa Mariana Świącieckiego („O unarodowieniu literatury”), w którym autor rozciąga gorzkie żale, jakoby po odzyskaniu niepodległości literatura wyczerpałaby swoją misję patriotyczną, przestała być narodową. „Na skutek przeobrażeń gospodarczo - społecznych zaczął się u nas już w drugiej części XIX stulecia zalanywać dotąd niemalże wyłączny typ rustykalny, rugowany przez postępującą urbanizację i industrializację”. „Literatura zaczyna się coraz bardziej stawać produktem życia miejskiego...”. „Ogromna większość powojennych powieści charakteryzuje jakąś szczególną bezpłciowość, brak tych wyrazistych znamion charakteru narodowego, które tak cechują literaturę angielską, francuską, rosyjską czy skandynawską...”. I tak dalej i tak dalej. P. Świąciecki wytłumaczył sobie obiektywne przyczyny tej „derustykacji” literatury, ale nie wytłumaczył nam, dlaczego większość powieści powojennych charakteryzuje jakaś szczególna bezpłciowość. Nie zauważyliśmy tego ani podczas lektury powieści Żeromskiego „Przedwiośnie”, ani Marii Dąbrowskiej „Noce i dni” żeby tylko te dwie pozycje wymienić.

Najbardziej niepokojąca jest recepta, jaką daje p. Świąciecki na „Unarodowienie” polskiej literatury i wygnanie z niej diabła urbanizacji i industrializacji, który to diabeł podstępnie pisarzem polskim rozmaite niebezpieczne nowinki. Recepta zwolennika rustykalizacji brzmi: niech dojdą do głosu w literaturze „te rdzenne pierwiastki, jakie pod względem narodowym reprezentuje niezaprzeczalnie jeszcze zachodniopolska, wstankowocna, podmiejska pseudocivilizacja polska wieś”. Ano, spróbujmy! Stwórzmy dla p. Świącieckiego rezerwat w jednej ze wsi. Wypimy tylko bardzo, czy obiekty tych eksperymentów, chłop polski, zechce trwać w stanie „rustykalnym”, zachwalanym przez p. Świącieckiego. Wydaje się nam, że postępowe ruchy ludowe w Polsce zerwały już dawno z mitem „wsi spokojnej, wsi wesolej”. Droga do unarodowienia literatury prowadzi chyba raczej przez upowszechnienie oświaty, przez wyrównanie poziomu wsi i miasta przy pomocy tych właśnie „acji”, których tak lęka się p. Świąciecki.

Zdawałoby się, że „Odra” ma za zadanie rzetelne informowanie ludności polskiej zamieszkującej ziemie zachodnie zwiększona w zakresie spraw niemieckich. Redakcja czyni tego rodzaju wysiłki w dziale „Co robią Niemcy”, gdzie zwraca uwagę przede wszystkim na realne konkretne fakty życia kulturalnego i gospodarczego bylejsz Rzeczy. Petitem na ostatniej kolumnie w numerze 12 w wymienionym dziale umieszcza się interesujące notatki o regenerującej się przeczności niemieckiej, która wyraża się przede wszystkim w faktach i cyfrach. Tymczasem na pierwszej stronie tego samego numeru zamieszczono obszerny artykuł Stanisława Rospada „Piastkolodziej i wojowniczy Siegfried”, w którym autor z pilnością godną lepszej sprawy rozpatruje różnice między słowianami i plemionami germańskimi na płaszczyźnie psychologicznej. Zamiast mówić o konkretnych historycznych i ekonomicznych przyczynach niemieckiej ekspansji, p. Rospada zastanawia się nad „mythosem” i „ethosem”, mówi o „duchu krzyżackiej”, o „sclavus saltans” i kończy („reassumując rzut psychologiczno-kulturalny”) i pisząc, że „w duszy słowiańskiej przeważał pierwiastek niewieści nad męskim” takim passusem: „...chaos naszej epoki, która już odczuła i Tolstoj i Bergson polega na ścieraniu się w życiu i historii narodów racjonalizmu z irracjonalizmem”.

Proponujemy redakcji „Odry”, by odczuła, że w irracjonalnym artykule p. Rospada nie ma nie prócz próby podania skutków za przyczyny i by zamieszcza, gwoli lepszemu informowania swoich czytelników, rzetelny artykuł o istotnych przyczynach historycznego konfliktu polsko - niemieckiego. Wiadomo nam, że „Odra” nieraz takie rzetelne artykuły zamieszczała. Czytaliśmy je z wielkim zainteresowaniem. Sprawy te obchodzą nas w Łodzi i w Krakowie czy Warszawie tak samo serdecznie i gorąco, jak „Odra” na Śląsku. I dlatego tylko wytykamy jej błędy.

ph

CENY OGŁOSZEŃ: 1 kolumna zł 60.000; 1/2 kolumny zł 30.000; 1/4 kolumny zł 15.000; 1/8 kolumny zł 8.000; 1/16 kolumny zł 5.000; Probie ogłoszenia 25 zł mm na 1 szpalcie

Redaguje Zespół „Kuźnicy”. Redaktor Naczelny: Stefan Zółkiewski. Redaktor naczelny przyjmuje wtorki, czwartki i soboty od godziny 11 do 13.

D-02773

Adres redakcji i administracji: Piłkowska 96 tel. 205.42.

Wydawca: Zespół „Kuźnicy”. — Drukarnia

Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik” Nr. 4, ul. Zwirki 2.